

FREE

NR 3 /2013(14) WYDANIE SPECJALNE

de
Luxe

**Wywiad numeru:
Artur Dzierkowski
FREE UR MIND!**

**Co kryje się
za ruchomymi
drzwiami?**

**W roli głównej:
Kaźda podróż
to przygoda**



◀ Kopernikański Shake

str. 16

fot. M. Kalinowski

Co kryje się za ruchomymi drzwiami?

str. 14 ▶

fot. M. Kalinowski



Zaraż nas swoją pasją

w roli głównej Piotr Kąćicki

str. 20 ▶

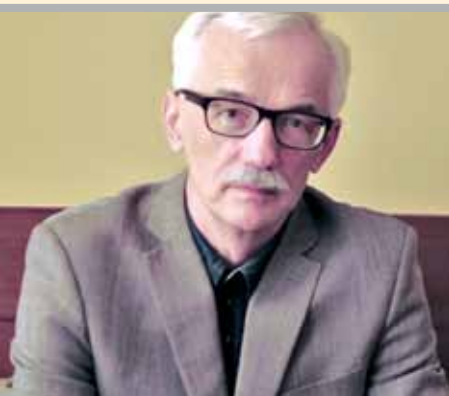
fot. prywatne archiwum

P. Kąćickiego



SPIS TREŚCI

Wyprawa życia	4	Free ur mind!	18
Lunetka w kieszeni	8	Zaraż nas swoją pasją	20
Co kryje się za ruchomymi drzwiami?	14	(Nie)ograniczony	21
Kopernikański Shake	16	Do odpowiedzi... ..	22
Gra słów	17	prof. Józef Skorupiński	22
		Spotted napisz (d) o mnie	23



◀ Do odpowiedzi...

dyrektor Józef Skorupiński

str. 22

fot. M. Kalinowski

READ DELUXE

Wydanie specjalne gazetki uczniów

1 LO im. M. Kopernika,

ul. Łopuskiego 42-44, 78-100 Kołobrzeg

tel. 94 354 46 33

redakcjaread@gmail.com

www.readakcja.republika.pl

Wyprawa życia ▶

str. 4

Lunetka w kieszeni

▼ str. 8



ZESPÓŁ REDAKCYJNY

OPIEKUNOWIE GAZETKI:

mgr Blanka Góral, mgr Marek Kieś

REDAKTOR NACZELNY: Grzegorz Dobek

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Justyna Piąsta

REDAKCJA: Majka Lejbt, Daria Wojciechowicz,

Damian Hołub, Anita Rogoża, Laura Mytnik,

Martyna Owczarek, Agnieszka Barańczuk, Rafał Wapiński,

OKŁADKA: fot. M. Kieś



Free ur mind! ▶

Wywiad numeru

z prof. Arturem Dzierkowskim

str. 18

fot. W. Dzierkowski





READ BOOK

Nareszcie światło dzienne ujrzał **READ DELUXE!** Trzymasz właśnie w dłoni – Drogi Czytelniku – przygotowywany od wielu miesięcy numer specjalny gazetki *Kopernik*. Wyjątkowo w innej oprawie graficznej, wyjątkowo w kolorze i wyjątkowo z dofinansowania Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania ze środków Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży! Wszystko to za sprawą uczestników wymiany z Niemcami i Izraelem, którzy udowodnili, że (bez wątplenia) każda podróż to niezwykła przygoda, a (nawiązując do nazwy projektu, w którym bierzemy udział) młodzi dziennikarze są pomostem pomiędzy kulturami, narodami i pokoleniami.

Oprócz wielojęzycznych artykułów na temat wyjazdu w gazecie znajdują się też tradycyjne rubryki **READ**. Możecie przeczytać *Co kryje się za ruchomymi drzwiami*, czyli reportaż o naszej (nie) idealnej szkole. W *Podsluchane...* poruszyliśmy temat o robiących w ostatnim czasie furorę na facebook' u stronach *Hejted* i *Spotted*. Pozostając przy najpopularniejszych tematach na korytarzach szkolnych, nie mogliśmy zapomnieć o relacji z *Kopernikańskiego Harlem Shake'a*. W gazecie nie zabraknie również wywiadów. O pobycie w Ameryce, przygodzie z aktorstwem i tolerancji opowiedział nam prof. Artur Dzierkowski. *Zarazić Was swoją pasją* spróbuje jeden z najlepszych tancerzy w Polsce, Piotr Kącicki. Natomiast *Do odpowiedzi...* wywołał naszego dyrektora prof. Józefa Skorupińskiego. To i wiele więcej zaczyna się już na następnej stronie.

ps Chcielibyśmy, aby kolejne wydania naszej gazetki również się tak prezentowały, dlatego Redakcja uśmiecha się do wszystkich przyszłych sponsorów.



Endlich hat **READ DELUXE** das Tageslicht erblickt. Du hältst gerade, mein Lieber Leser, die Sonderausgabe der Schülerzeitung von *Kopernik*, an der es monatelang gearbeitet wurde. Diesmal, dank der Zuschüsse von dem Verein der polnischen Gemeinden der Euroregion Pomerania aus DPJW-Mitteln ausnahmsweise in Farbe und in einer neuen grafischen Form! Das alles durch die Schüler, die an dem Schüleraustausch mit Schulen in Deutschland und in Israel teilgenommen und damit auch bewiesen haben, dass jede Reise zweifelsohne zu einem ungewöhnlichen Abenteuer werden kann. Und wie es im Titel des Projekts steht, *die jungen Journalisten sind doch eine Brücke zwischen Kulturen, Nationen und Generationen*.

Außer dreisprachigen Artikeln über den Schüleraustausch und die Zusammenarbeit junger Leute findet ihr hier auch feste Rubriken unserer **READ** Zeitung. Ihr könnt z. B. *Was versteckt sich hinter der großen Schiebetür*, eine Reportage über unsere (nicht ganz) ideale Schule lesen. In *Belauscht...* haben wir uns mit dem Thema der immer größer werdenden Beliebtheit von Facebook Seiten *Hejted* und *Spotted* auseinandergesetzt. Wir haben auch die beliebtesten Themen der Schulkorridore ins Visier genommen, konnten aber dabei den Bericht von dem kopernikanischen *Harlem Shake* nicht vergessen. Es fehlt in der Zeitung ebenfalls nicht an Interviews. Prof. Artur Dzierkowski erzählte uns über seinen Aufenthalt in Amerika, sein Abenteuer mit der Schauspielkunst und über Toleranz. Piotr Kącicki, einer der besten Tänzer in ganz Polen, versucht *Euch mit seiner Leidenschaft anzustecken*. Und wir haben auch unseren Schulleiter Prof. Skorupiński zum Abfragen aufgerufen. Das alles und noch viel mehr findet ihr gleich auf der nächsten Seite.

ps Wir wünschen uns, dass sich die nächsten Ausgaben unserer Schülerzeitung auch so präsentieren wie die vorliegende Ausgabe, deswegen sind alle unterstützungswilligen Sponsoren sehr gern gesehen.

READ DELUXE has finally arrived! What you are holding, my dear readers, is a special issue of *Kopernik's Magazine*, which has been prepared over the last few months. With the financial support of the Polish Association of Municipalities of the Pomerania Region, and being subsidized with funds from the Polish-German Youth Cooperation, we are able to bring this issue to you in a larger format and in full colour! Many thanks to the participants of the Polish-German-Israeli exchange project, who proved that every journey can be an exciting adventure and that young journalists are bridges between cultures, nations and generations (hence the name of the project).

Apart from multi-lingual articles about youth cooperation, this magazine includes our customary features. You can find *What's Behind the Sliding Door*, a report about our (im)perfect school. In *Overheard* we tackle the growing popularity of Facebook pages *Hejted* and *Spotted*. Sticking to topics that animate the school corridors, we could not forget about *Kopernik's Harlem Shake*. Among our interviews: Professor Artur Dzierkowski talks about his stay in America, and how important it is to be open minded; Piotr Kącicki, one of the best dancers in Poland tries to infect you with his passion; we also *grilled* our headmaster, Professor Józef Skorupiński. All this and more starts on the next page...

ps We hope our next issues look like this one, therefore any prospective sponsors are welcome.



Grzegorz Dobek

REDAKTOR NACZELNY / CHEFREDAKTEUR / CHIEF EDITOR

EUROREGION
POMERANIA



POLSKA
DEUTSCHLAND
SVERIGE

Gazeta sfinansowana przez Stowarzyszenie Gmin Polskich Euroregionu Pomerania ze środków Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży w ramach projektu *Młodzi dziennikarze pomostem pomiędzy kulturami, narodami i pokoleniami*.



Polsko-Niemiecka
Współpraca Młodzieży

Deutsch-Polnisches Jugendwerk

WYPRAWA ŻYCIA

ANITA ROGOŹA

Co to się działo! Gdy w zeszłym roku na początku listopada w Polsce zimny wiatr hulał z pierwszym śniegiem, wybraliśmy się na, jak do tej pory wszyscy zgodnie twierdzą, wyprawę życia!

Po pokonaniu 498 km polską koleją żelazną i niebagatelnej odległości 1555 mil samolotem, bladołica reprezentacja i Ło im. M. Kopernika (w składzie 9 czarujących dziewcząt i Tymoteusz Basak) postawiła stopy na ciepłej i gościnnej izraelskiej ziemi. Powiem wam, że do tej pory jak się postaram i zamknę oczy, to czuję na twarzy ciepły powiew nocy Tel Avivu...

Ale nie od razu wsiedliśmy w samolot! Wszystko zaczęło się jeszcze rok wcześniej, gdy do skutku doszła pierwsza edycja współpracy Koperasa i Ra'anana Metro School. Oszołomieni opowieściami o cudach Ziemi Obiecanej snutymi przez rozmarzone starsze roczniki i prof. Kiesia, postanowiliśmy przystąpić do następnej wymiany. Latem 2012 mieliśmy okazję powitać na polskiej, jak również niemieckiej i duńskiej ziemi, naszych rówieśników z Izraela i pokazać im, co znaczy *postaw się, a zastaw się* oraz jak wygląda Kołobrzeg, kiedy pada (czyli generalnie przez całe lato)...

TAJEMNICZA FRAU K.

Kiedy nasi jeszcze wówczas korespondencyjni znajomi ustalili już datę (15 lipca 2012) i miejsce przylotu (Berlin), w naszych głowach zaczął rodzić się fantazyjny plan podsycany nie tylko przez młodzieńczą wyobraźnię, ale również przez niebywałe znajomości Pani Kieś. Frau K, będąca znajomą pani profesor z innej zagranicznej współpracy, zaoferowała nam gościnę. Nie w swojej posiadłości, nie u siebie w mieszkaniu, ani tym bardziej nie na dworcu... Zaprosiła nas do prawdziwej zachodnioeuropejskiej szkoły... Idealnego połączenia edukacyjnego pragmatyzmu i hotelowego standardu rodem z Hiltona (wiem co mówię, zwiedzaliśmy jeden dzięki niej w Berlinie)... Zaprosiła nas do SCHULTONA! Ni mniej ni więcej, a Brillat-Savarin-Schule OSZ für Gastgewerbe. Do grona *wymieńców* przyjęliśmy również dwójkę przemitych Niemców – Leonie i Fredericka.

Do Berlina wyruszyliśmy dokładnie dwa dni przed przylotem kolegów i koleżanek z wymiany. Mieliśmy okazję wybrać co bardziej miękkie materace gimnastyczne i porozstawiać je w strategicznych miejscach

opuszczonych sal lekcyjnych. Prócz sal mieliśmy do dyspozycji w pełni wyposażoną profesjonalną kuchnię (wiwat szkoły zawodowe!) i gigantyczną salę gimnastyczną, która w świetle księżycy wyglądała jak scena filmu o seryjnym mordercy (każde piętro identyczne, w łazienkach ściany czarne, a w kolankach odpływowych potępione dusze). Warto też wspomnieć, że udośćpniono nam klucz – do wszystkiego. Wart 300 tys. euro. Następnego dnia, gdy zdołaliśmy nacieszyć się już prawie wszystkimi urokami chromowanych powierzchni i *zeksplorować* sięgające po horyzont tereny Brillat-Savarin-Schule, ruszyliśmy na podbój Berlina (proszę nie traktować tej metafory dosłownie...).

Dzięki uprzejmości naszej gospodyni odwiedziliśmy nie tylko Alexanderplatz, ale również turecki market pełen owoców, które jeszcze przed wizytą w Tel Awiwie wydawały się egzotyczne, i księgarnie wszystkich języków świata. Prócz atrakcyjnych turystycznie w oczywisty sposób miejsc, nasza wycieczka obejmowała również Hotel HILTON. Tak drodzy państwo, by nie powiedzieć plebsie, *byłim w Hiltonie!* Co prawda, ledwo otarliśmy się o salę balową i korytarze wysłane mięciuteńkimi dywanami, ale przynajmniej przekonaliśmy się, ilu ludzi i mozołu wymaga utrzymanie w nienagannym porządku mechanizmu tak wielkiego przedsięwzięcia.

Wieczorem przyszedł czas na ciężką pracę – wytrwale smażenie naleśników, kisenie ogórków i pisanie powitalnych transparentów na lotnisko! Nie obyło się też bez radosnej twórczości na szkolnej tablicy i wyjadania farszu do pierogów. Gdy już ani jedna lodówka nie była pusta, a na każdej wolnej kartce napisane zostało *Hello!* lub *Shalom*, mogliśmy położyć się na matach farskich (materacach klasy Schulton) i zamknąć oczęta.

Niech o następnym dniu opowie wam nasza relacja na gorąco! W czasie pomiędzy lataniem jak dekiel po niemieckiej szkole, a lepieniem pierogów pisaliśmy codzienne raporty z tego, czego dokonaliśmy i doświadczyliśmy.

FIRST IMPRESSION 15 VII 2012

After a troubled night filled with anticipation, the day of the first meeting came. We went to the Schönefeld Airport well-prepared, we had banners with greetings in different languages and hearts full of hope.

Waiting for our Israeli friends we were so nervous that we started welcoming random people who appeared in the gate. Then we saw a group of people whose faces seemed to be pretty familiar. The first impression was very positive, although most of us felt quite confused. During our return to Schulton we had an opportunity to get to know each other better with a huge help of *standard conversation subjects*.

Despite the terrible chaos in the kitchen, we served pancakes to our special guests. They claimed they were delicious but probably they were just trying to be polite. Awwwww... so cute! After a little bit of rest, we left Schulton in order to explore The City together. We followed our guide Mrs. Köhenke through the *Straßen und Alleen* of Berlin. We saw the monuments built in memory of the victims of World War II, the Old Town and the Brandenburg Gate, which is the symbol of the restless history of modern Germany. This was only the beginning of our sightseeing but we got tired so quickly that we had to head straight for the school (take that!). All we want to do now is go to bed, so take care till tomorrow...

Dzięki temu fragmentowi macie teraz trochę lepsze pojęcie o tym, jak bardzo byliśmy stremowani tuż przed poznaniem dotychczasowych wirtualnych znajomych. Okazali się zupełnie normalnymi, otwartymi istotami dwunożnymi! Z przekrością muszę jednak stwierdzić, że tematy pierwszych rozmów naprawdę były boleśnie standardowe.

Na szczęście nie było czasu na zabawę w outsiderów! 16 lipca ruszyliśmy po raz kolejny w Berlin i odkryliśmy, że mamy z Izraelczykami kolejną wspólną cechę – powolna szwędaczka po miejscach pamięci powoduje u nas swego rodzaju turystyczny marazm... Na całe szczęście wybrał nas od niego Pan Christian, który był naszym przewodnikiem po Reichstagu. Opowiedział nam o tym, jak doszło do zjednoczenia Niemiec i narodzin demokracji, co spowodowało poważnie brzmiącą rozmowę o różnicach w ustrojach państw, których przedstawiciele zgromadzono w małej, acz nowoczesnej urzędzonej salce wykładowej. Po pełnym zamieszaniu dnia nastąpiła ostatnia noc pod dachami Berlina, na którą łaskawie spuszczyć zasłonę milczenia...

Kolejny dzień przyniósł ze sobą wiele wrażeń, tym razem bardziej logistycznych niż turystycznych. Aby dostać się spod Brillat-Savarin-Schule o sz für

Trochę wiało ale było świetnie – Reichstag, Berlin (fot. M. Kieś)





Okolice zamku Hammershus, Bornholm (fot. M. Kieś)



Spacer brzegiem morza, Svaneke (fot. M. Kieś)

Gastgewerbe na dworzec kolejowy w Kołobrzegu, musieliśmy skorzystać z następujących środków transportu: tramwaju, 2 autobusów, następnego tramwaju, kolejki podmiejskiej, pociągu do Angermünde, pociągu do Szczecina i szynobusa do Kołobrzegu. Na początku dało się jeszcze słyszeć komplementy Izraelczyków dotyczące europejskiej różnorodności komunikacyjnej, ale w okolicach Szczecina Dąbie ich zdania były już podzielone. Gdy wreszcie udało nam się dotrzeć do ojczyzny szczęśliwie skąpanej w słońcu, na wszystkich gości i gospodarzy czekały stoły uginające się od ciężaru polskich przysmaków i stremowiani rodzice. Co tu dużo opowiadać! W Izraelu dostaliśmy w zamian tyle żarcia, że staropolskie postaw się, a zastaw się, odniosło chyba pewne wrażenie!

WHO'S AFRAID OF JANTAR?

Niestety, następnego dnia nie było dane nam się wypaść, ponieważ nieublagany plan wymiany przewidywał zbiórkę w porcie (punkt 5.00) oraz skorzystanie z następnego środka komunikacji – tym razem wodnej – a mianowicie majestatycznej jednostki pływającej m/s JANTAR. Okazało się, że mimo słonej wody w żyłach gospodarzy i determinacji u gości nie udało się przetrwać wyprawy na Bornholm w zdrowiu i dostatku. By się zbytnio nie rozwlekać, dodam tylko, że jedną z chwil najwyższego zjednoczenia polsko-niemiecko-izraelskiej grupy uczniów był akt radosnego i nieskrępowanego hafciarstwa.

Na szczęście, gdy tylko spelziliśmy z pokładu, przekonał się, że było warto. Pogoda absurdalnie piękna, miasteczka urokliwe jak scenografia filmowa, a ruiny zamku Hammershus jak z *Makbeta*! Co tu kryć, skandynawski urok wynagrodził trudy podróży, a debiutująca siedemnastoletnia przewodniczka wzbudziła sympatię chyba wszystkich zebranych.

A-PRO-KSI-MET-LI

19 lipca okazał się nie mniej emocjonujący niż poprzednie dni, udaliśmy się grupowo na coś, co dla ludzi z Kołobrzegu i okolic jest nie do pomyślenia, czyli na zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Niestety, pogoda nie dopisała i nasz przemarsz przez plac ratuszowy, katedrę, port i promenadę nieszczyśliwie zakończył się w okolicach pomnika zaślubin z morzem. Chodź rozstaliśmy się w deszczu i w raczej średnich nastrojach, nie musieliśmy długo czekać na ich poprawę, albowiem *Kołobrzeg by night* okazał się miejscem nader interesującym i pozwalającym wyrobić nawet do 300% normy.

W dzień po zwiedzaniu dotarła do nas pani Miriam z Muzeum Historii Żydów Polskich i w Hotelu Centrum poprowadziła warsztaty, które jeszcze bardziej utwierdziły nas w przekonaniu, że Holocaust nie jest jedynym pretekstem do porozumienia pomiędzy Żydami, Polakami i Niemcami. Wspólnie projektowaliśmy idealne życie, ale co ważniejsze, staraliśmy się odnaleźć rozsądek w obliczu ciężaru historii, równoważąc patos i szacunek. Warsztaty dały nie tylko dużo powodów

do myślenia, ale też całkiem ich sporo do śmiechu. Po południu część grupy ruszyła zwiedzać Kołobrzeg na rowerach, a część wydawać euro w koszarlińskim Atrium. Wieczorem zebraliśmy się wszyscy razem, by udowodnić niedowiarkom, że Kołobrzeg to nadbałtycka stolica imprez. Tak, drodzy państwo, miały miejsca wydarzenia określane mianem entuzjastycznego *best party ever*, a to wszystko za sprawą Eska Music Awards i Sunrise Festival, które zbiegły się w czasie za sprawą kosmicznych sił specjalnie dla naszych gości.

Gdy obudziliśmy się następnego dnia zachrypnięci i z obolałymi stopami, czekał nas bardzo miły dzień spędzony z rodzinami gospodarzy. Niektórzy jeździli traktorami, inni spacerowali po parku nadmorskim lub wydawali resztki pieniędzy na pamiątki, słowem wczasy nad Bałtykiem! Był nawet grill! I to nie byle jaki! Korzystając z zaproszenia jednej z koleżanek, Agaty, spędziliśmy uroczę popołudnie nad wodą przy, obowiązkowo, drobiowej kiełbasie. Wszyscy byli odrobinę rozczerzeni i w melancholijnych nastrojach, ponieważ zupełnie niezauważony, trochę jakby tylnymi drzwiami, przyszedł ostatni wspólny dzień! Było pyszne jedzenie, gościnność, płomień ogniska... Nie zabrakło podziękowań, które do dziś grzeją serca ich adresatów i w odpowiednim momencie powstrzymały łzy pożegnania.

22 lipca nie będę opisywać. Pożegnania są wystarczająco nieprzyjemne, zarówno gdy się odbywają, jak i gdy trzeba przywołać je z pamięci. Jedyną pociechą pozostawała wtedy obietnica rewizyty...

REISE DES LEBENS

Was war hier los, ist kaum zu glauben! Als der Wind letztes Jahr in Polen Anfang November zu heulen begann, brachen wir nach den ersten Schneefällen auf die Reise unseres Lebens auf. Nachdem wir die Strecke von 498 Km mit der polnischen Eisenbahn und eine nicht geradezu geringfügige Entfernung von 1555 Meilen mit dem Flugzeug zurückgelegt hatten, hat die blasse Delegation der Nicolaus Copernicus Oberschule in Kołobrzeg, die aus 9 entzückenden Mädchen und Tymoteusz Basak bestand (natürlich unter der Leitung von unsern Betreuern Beata und Marek Kieś, ihren Fuß auf den gastfreundlichen israelischen Boden gesetzt.

Ich sage euch, auch heute noch, wenn ich mir nur noch ein bisschen Mühe gebe und die Augen zumache, spüre ich auf meinem Gesicht

den warmen Hauch der Nacht in Tel Aviv...

Wir sind jedoch nicht gleich in das Flugzeug gestiegen! Alles hat ein Jahr früher begonnen, in dem es zum ersten Schüleraustausch von Copernicus und der Metro High School in Ra'anana gekommen ist.

Von den Erzählungen unserer Mitschüler sowie unseres Lehrers Marek Kieś, die an dem Austausch bereits im Vorjahr teilgenommen haben, über die Wunder des Gelobten Landes berauscht, haben wir beschlossen, an dem nächsten Austausch teilzunehmen. Im Sommer 2012 war es uns gegeben, unsere Freunde aus Israel auf dem polnischen, aber auch auf dem deutschen und dem dänischen Boden willkommen zu heißen und ihnen zu zeigen, was der in Polen gängige Spruch *nobel geht die Welt zugrunde* in

Wirklichkeit bedeutet. Wir konnten ihnen auch zeigen, wie unsere Stadt Kołobrzeg aussieht und wann es hier regnet, also generell den ganzen Sommer lang...

DIE GEHEIMNISUMWOBENE FRAU K.

Als unsere damaligen Brieffreunde den Termin ihrer Ankunft in Polen über Berlin (den 15. Juli 2012) festgelegt hatten, begann in unseren Köpfen ein phantastischer Plan zu entstehen, der nicht nur durch unsere jugendliche Phantasie, sondern auch durch die außergewöhnlichen Beziehungen von Frau Beata Kieś erregt wurde. Frau Köhnke, die eine gute Bekannte von Frau Kieś war, hat uns ihre Gastfreundschaft angeboten. Nicht auf ihrem Gut, nicht in ihrer Wohnung, um so mehr nicht auf dem Bahnhof, sondern...sie hat uns in eine echte westeuropäische Schule eingeladen. Es war eine ideale Verbindung von Bildungspragmatismus und Hotelstandards

rein aus der bekannten Hilton – Hotelkette (und ich weiß genau, worüber ich hier schreibe, denn dank Frau Köhnke konnten wir auch das Hilton Hotel in Berlin besichtigen). Sie hat uns also, um es schlicht zu sagen, ins SCHULTON eingeladen! Es war nicht mehr, nicht weniger die Brillat-Savarin-Schule OSZ für Gastgewerbe. In unserem Kreis der Austauschschüler haben wir auch äußerst nette deutsche Schüler aufgenommen, unter anderen Leonie und Frederik.

Nach Berlin sind wir etwas früher aufgebrochen, um da unsere deutschen und israelischen Freunde rechtzeitig begrüßen zu können. Zu unserer Verfügung wurden gestellt: Unterrichtsräume, eine voll eingerichtete professionelle Küche sowie ein riesengroßer Turnsaal, der beim Mondlicht wie die Filmszenerie aus einem Thriller über einen Serienmörder ausgesehen hat (jede Etage sah identisch aus, Waschräume schwarz gefliest und in den Abflussrohren konnte man zur ewigen Verdammnis verurteilte Seelen vermuten). Erwähnt soll es auch, dass man uns einen Schlüssel gegeben hat, der alle Türen öffnen konnte. Wert des Schlüssels 30.000,00 EUR! Am darauffolgenden Tag, nachdem wir uns bereits an fast allen Reizen der verchromten Flächen sattgefreut und alle möglichen Ecken und Enden der Brillat-Savarin-Schule exploriert hatten, brachen wir endlich auf, um Berlin zu erobern (bitte nehmt meine Metapher nicht allzu wörtlich!)

Dank der Freundlichkeit unserer deutschen Gastgeberin besichtigten wir unter anderen nicht nur den Alexanderplatz, sondern auch den türkischen Markt voll von verschiedenen Früchten, die uns damals noch vor dem Besuch in Israel sehr exotisch vorkamen. Wir waren auch in einer Buchhandlung mit Büchern in Sprachen aus allen Herrenländern der Welt!

Außer allen touristisch attraktiven Sehenswürdigkeiten der Stadt umfasste unsere Besichtigung auch das HILTON Hotel. Jawohl, meine Herrschaften, wir waren im HILTON! Es ist wahr, haben lediglich den Hauch von der großen Welt der vornehmen Gesellschaft zu sehen bekommen,

uns an den großen Ballsaal und die mit weichen Teppichen belegten Korridore geschmiegt, trotzdem konnten wir uns davon überzeugen, wie viel Mühe es bedarf, solch ein großes Unternehmen in einer tadellosen Ordnung zu halten.

Am Abend kam die Zeit einer schweren Arbeit für uns – Pfannkuchen backen, Gurken einlegen und die Vorbereitung von Begrüßungstransparenten!

Lasst euch von dem nächsten Tag erzählen!

In der Zeit zwischen dem Herumlaufen in der deutschen Schule und dem Kneten von Piroggen hatten wir Berichte darüber vorzubereiten, was wir bereits geleistet und erfahren haben.

FIRST IMPRESSION 15 VII 2012

After a troubled night filled with anticipation, the day of the first meeting came. We went to the Schönefeld Airport well-prepared, we had banners with greetings in different languages and hearts full of hope. Waiting for our Israeli friends we were so nervous that we started welcoming random people who appeared in the gate. Then we saw a group of people whose faces seemed to be pretty familiar. The first impression was very positive, although most of us felt quite confused. During our return to Schulton we had an opportunity to get to know each other better with a huge help of *standard conversation subjects*.

Despite the terrible chaos in the kitchen, we served pancakes to our special guests. They claimed they were delicious but probably they were just trying to be polite. Awwwww... so cute! After a little bit of rest, we left Schulton in order to explore The City together. We followed our guide Mrs. Köhnke through the *Straßen und Alleen* of Berlin. We saw the monuments built in memory of the victims of World War II, the Old Town and the Brandenburg Gate, which is the symbol of the restless history of modern Germany. This was only the beginning of our sightseeing but we got tired so quickly that we had to head straight for the school (take that!). All we want to do now is go to bed, so take care till tomorrow...

Dank diesem Fragment habt ihr jetzt etwas mehr Ahnung davon, wie sehr wir vom Lampenfieber kurz vor dem Kennenlernen unserer virtuellen Freunde ergriffen waren. Und es hat sich erwiesen, dass sie ganz gewöhnliche zweibeinige Geschöpfe waren! Mit Bedauern muss ich jedoch feststellen, dass die Themen der ersten Gespräche schmerzhaft standardmäßig waren. Zum Glück gab es keine Zeit *Außenseiter* zu spielen! Am 16. Juli brachen wir wiederholt nach Berlin aus und konnten dabei entdecken, dass wir eine weitere Gemeinsamkeit mit den Israelis haben und zwar ein langsames Herumtrödeln. Zum Glück hat uns Herr Christian gerettet, der uns durch den Reichstag führte. Er erzählte uns viel darüber, wie es zur Vereinigung der beiden deutschen Staaten und zur Geburt der Demokratie in Deutschland gekommen sei, was wiederum zu einer ernsthaften Diskussion über die verschiedenen Staatsformen der Länder führte, deren Vertreter in einem kleinen Vorlesungssaal versammelt waren. Nach dem erlebnisreichen Tag erfolgte die letzte Nacht unter den Dächern von Berlin, über die ich lieber den Vorhang des Schweigens herablassen möchte...

Der nächste Tag brachte viele neue Erlebnisse mit sich, diesmal waren sie mehr von einer logistischen Art, denn von einer touristischen. Um den Weg von der Brillat-Savarin-Schule OSZ für Gastgewerbe zum Kolberger Bahnhof zu bewältigen, mussten wir folgende Verkehrsmittel in Anspruch nehmen: Straßenbahn, zweimal Bus, dann wiederum eine Straßenbahn, die S-Bahn, den Zug nach Angermünde, den Zug nach Stettin und schließlich den Schienenbus nach Kolberg, eine wahrhafte Weltreise! Am Anfang konnte man noch Komplimente der Israelis über die große Verschiedenartigkeit europäischer Verkehrsmittel zu hören bekommen, aber in der Gegend von Szczecin Dąbie waren die Meinungen bereits eindeutig geteilt. Als es uns endlich gelungen ist, unsere sonnendurchflutete Heimat zu erreichen, warteten auf alle Gäste mit polnischen Leckerbissen voll beladene Tische und natürlich auch unsere Eltern. Was soll ich hier viel erzählen! In Israel, während unseres Gegenbesuchs haben wir so viel zum

Niemiecki porządek – wizyta w Reichstagu (fot. M. Kieś)



Fish-face łączy ludzi, Hotel Centrum w Kolobrzegu (fot. M. Kieś)



Essen bekommen, dass der alte polnische Spruch *nobel geht die Welt zugrunde* doch einen gewissen Eindruck auf unsere israelischen und deutschen Gäste gemacht hat!

WHO'S AFRAID OF JANTAR?

Zu unserem Bedauern war es uns leider nicht gegeben, am darauffolgenden Tag auszuschlafen, denn wir hatten alle dem Plan nach um 5.00 Uhr früh im Hafen einzutreffen und die Dienste des nächsten Verkehrsmittels in Anspruch zu nehmen, diesmal war es ein Schiff, die majestätische m/s JANTAR. Es hat sich dann erwiesen, dass es trotz salzigen Blutes in den Adern der Gastgeber und eiserner Entschlossenheit der Gäste nicht gelungen ist, die Überfahrt nach Bornholm heil durchzustehen. Um es nicht weitschweifig zu machen, will ich nur ergänzend hinzufügen, dass einer der Augenblicke der höchsten Vereinigung polnischer, israelischer und deutscher Schüler der Akt eines gemeinsamen fröhlichen Bogenhustens war. Zum Glück, sobald wir vom Deck herunter gekrochen waren, konnten wir uns überzeugen, dass es doch alles nicht umsonst war. Das Wetter in absurder Weise schön, reizende Städtchen wie in einer Filmszenerie und die mittelalterlichen Burgruinen in Hammershus wie im *Macbeth*! Der skandinavische Reiz hat uns alle Mühen der Reise wiedergutmacht und die debütierende siebzehnjährige dänische Reiseführerin hat wohl Sympathie bei allen Versammelten erweckt.

A-PRO-KSI-MET-LI

Der 19. Juli hat sich als ein Tag erwiesen, der gar nicht weniger emotionsbeladen war als alle vorangegangenen Tage, denn wir haben uns auf etwas Begeben, was für Einwohner der Stadt Kolberg gar nicht zu denken

war, nämlich auf eine Besichtigungstour mit einem Stadtführer. Leider hat das Wetter nicht mitgespielt und unser Durchzug durch den Rathausplatz, am Kolberger Dom vorbei bis zum Hafen und auf die Promenade hin ist am Denkmal für die Vermählung Polens mit dem Meer zu Ende gegangen. Obwohl wir uns bei strömendem Regen und in einer miesen Stimmung verabschiedet haben, brauchten wir auf die Aufheiterung doch nicht lange zu warten, denn *Kolberg by night* hat sich äußerst interessant gezeigt und wir haben dann über 300% der Tagesnorm geleistet.

Am Tag nach der Besichtigung hat uns Frau Miriam aus dem Museum für die Geschichte der polnischen Juden in Warschau erreicht, um sehr interessante Werkstätte im Hotel *Centrum* zu leiten, die uns in unserer Meinung noch mehr bestätigt haben, dass der Holocaust nicht der einzige Grund für die Verständigung zwischen Juden, Polen und Deutschen sein sollte. Gemeinsam haben wir eine beispielhafte ideale Lebensweise entworfen, aber was ich noch wichtiger finde, wir haben uns große Mühe gegeben, Vernunft im Angesicht der Last der gemeinsamen Geschichte walten zu lassen und Pathos und Achtung in Einklang zu bringen. (Es ist in einer eher ungewöhnlichen Art und Weise geschehen, was die Fotos beweisen können, auf denen die Gruppe auf dem Fußboden liegt. Die Werkstätte haben uns nicht nur einen großen Anstoß zum Nachdenken gegeben, sondern auch viel Freude und Spaß bereitet. Am Nachmittag brach ein Teil der Gruppe auf, um die schöne grüne Umgebung von Kolberg mit Fahrrädern zu besichtigen und der andere Teil der Gruppe zog vor, nach Koszalin zu fahren, um dort einen Einkaufsbummel zu machen. Den ganzen Abend haben wir Alle wieder zusammen

verbracht, um den Zweiflern zu beweisen, dass Kolberg doch die Ostseehauptstadt der Partys ist. Jawohl meine Herrschaften, so sahen die Geschehnisse aus, die enthusiastisch als *best party ever* bezeichnet werden. All das ist *Eska Music Awards* und *Sunrise Festival* zu verdanken, zwei großen Veranstaltungen, die gerade während des Besuchs unserer Freunde aus Deutschland und aus Israel in Kolberg stattgefunden haben.

Als wir am nächsten Tag mit heiseren Stimmen und angeschwollenen Füßen erwacht waren, wartete ein sehr angenehmer Tag bei den Familien schon auf uns. Einige sind mit Traktoren gefahren, die anderen wiederum im Strandpark spazieren gegangen oder haben auch das übriggebliebene Geld für Souvenirs und Geschenke ausgegeben, mit einem Wort Urlaub an der Ostsee! Es gab sogar eine Grillparty! Und dazu noch keine gewöhnliche. Der Einladung von Agata, einer unserer Mitschülerinnen folgend, haben wir einen reizvollen Nachmittag am See verbracht und eine Hühnerwurst über dem Lagerfeuer gebraten. Alle wurden ein bisschen melancholisch, denn fast unbemerkt, um nicht zu sagen, durch die Hintertür ist der letzte gemeinsame Tag gekommen. Es gab eine tolle Stimmung, Gastfreundschaft und tolles Essen! Es fehlte auch nicht an Dankesworten, die bis auf den heutigen Tag die Herzen derer erwärmen, an die sie gerichtet waren.

Den 22. Juli will ich gar nicht mehr beschreiben, denn der Abschied ist immer sehr unangenehm, sowohl dann, wenn er genommen, als auch dann, wenn er aus dem Gedächtnis zurückgerufen wird. Die einzige Tröstung, die uns damals blieb, war die Hoffnung auf den Gegenbesuch...

LIFETIME JOURNEY



So much happened! Last year, at the beginning of November, when cold winds and snow blew in Poland, we went on the journey of our lives. After travelling 498 km on Polish railways and 1555 miles by airplane, fair-skinned representation of Copernicus School (consisting of ten charming girls and Tymoteusz Basak) finally stood on warm and hospitable Israeli grounds. Let me tell you that, even now, whenever I try hard and close my eyes I can still feel the warm breeze of Tel Aviv night on my face.

But we didn't get on the plane at once. Everything began a year earlier, when the partnership between Copernicus School and Ra'anana Metro School took effect. Dazed by the stories about wonders of the Promised Land told by older students and professor Kieś we decided to take part in the next exchange. During the summer of 2012 we had a pleasure to greet our Israeli contemporaries on Polish and Danish grounds, as well as show them true Polish

hospitality and what Kołobrzeg looks like when it rains (generally throughout the whole summer).

MYSTERIOUS FRAU K.

When our pen friends picked the date (15th July 2012) and the place of arrival (Berlin), in our heads a plan began to form, fueled not only by our youthful imagination, but also by professor Kieś's incredible acquaintances. Frau K., being one of them, offered us a stay. Not in her flat and definitely not at the railway station. She invited us to a real western European school... an ideal combination of educational pragmatism and Hilton standards. She invited us to SCHULTON! Nothing else, but Brillat-Savarin-Schule osz für Gastgewerbe. We added two very nice Germans, Leonie and Frederick, to our group of exchange students.

We went to Berlin exactly two days before the arrival of our foreign friends. We were able to choose softer mattresses and put them in strategic points

of empty classrooms. Besides classrooms we could use fully equipped kitchen and a gigantic gym, which in the moonlight looked like a scene from a horror movie. The next day we went to see Berlin.

Thanks to hospitality of our hostess we saw not only Aleksanderplatz, but also visited Turkish Market and libraries in all languages of the world. Apart from places that are attractive to tourists our tour also covered Hotel HILTON.

In the evening came the time for hard work - making pancakes, ensiling cucumbers and making welcome banners we'd take to the airport. When all fridges were full and every piece of paper had *Hello* or *Shalom* written on it we could finally go to sleep.

Let a life report tell you about the next day. While we stayed in the German school we wrote daily reports about what happened and what we achieved.

FIRST IMPRESSION 15 VII 2012

After a troubled night filled with anticipation, the day of the first meeting came. We went to the Schönefeld Airport well-prepared, we had banners with

greetings in different languages and hearts full of hope. Waiting for our Israeli friends we were so nervous that we started welcoming random people who appeared in the gate. Then we saw a group of people whose faces seemed to be pretty familiar. The first impression was very positive, although most of us felt quite confused. During our return to Schulton we had an opportunity to get to know each other better with a huge help of *standard conversation subjects*.

Despite the terrible chaos in the kitchen, we served pancakes to our special guests. They claimed they were delicious but probably they were just trying to be polite. Awwwww... so cute! After a little bit of rest, we left Schulton in order to explore The City together. We followed our guide Mrs. Köhenke through the *Straßen und Alleen* of Berlin. We saw the monuments built in memory of the victims of World War II, the Old Town and the Brandenburg Gate, which is the symbol of the restless history of modern Germany. This was only the beginning of our sightseeing but we got tired so quickly that we had to head straight for the school (take that!). All we want to do now is go to bed, so take care till tomorrow...

Thanks to that
fragment
you

(fot. M. Kies)



have now a better view of how nervous we were before meeting our, till then virtual, friends. But they turned out to be completely normal, friendly bipedal creatures. Unfortunately our first topics of conversation were horribly boring. On the 16th of July we went to Berlin again and discovered that we and the Israelis had something more in common: slow sightseeing made all of us terribly bored. Thankfully Mr. Christian, who was our Reichstag guide, saved us from boredom.

The next day brought even more attractions, this time more linguistic than tourist ones. To get from Brillat-Savarin-Schule o.s.z für Gastgewerbe to Kołobrzeg's train station we had to take: a tram, two busses, another tram, a commuter rail, a train to Angemunde, a train to Szczecin and a railcar to Kołobrzeg. At first we could hear some praises for different European means of transport, but around Szczecin their responses were mixed. When we finally arrived in our sunny homeland we were met by full tables bending under many Polish dishes and nervous parents.

WHO'S AFRAID OF JANTAR?

We couldn't get much sleep as we were supposed to meet at 5 a.m. in the harbour to sail on our ship, Jantar, to get to the island of Bornholm. Despite salt water in the hosts' veins and our guests' determination soon we all felt very seasick. Thankfully, as soon

as we got off, we discovered that it was worth it. The weather was ridiculously beautiful, picturesque towns looked like from a movie and the ruins of Hammershus castle looked like taken straight from *Hamlet*. Scandinavian charm rewarded us for our hard journey and the debuting seventeen-year-old guide got sympathy of most of us.

APPROXIMATELY

19th of July turned out to be as exciting. We went to do sightseeing of Kołobrzeg. Sadly, the weather wasn't very good and our trip had to be cut short. We didn't have to wait too long for better weather and *Kołobrzeg by night* turned out to be very interesting.

On the next day Ms. Miriam from Museum of Polish Jews' History arrived and led some workshops that made it obvious that the Holocaust isn't the only reason for the union of Polish, German and Jewish people. In the afternoon a part of the group went to do sightseeing on bikes while the rest went to spend euros in Koszalin's Atrium Shopping Centre. In the evening we all got together and had the *best party ever* thanks to both Eska Music Awards and Sunrise Festival.

When we woke up on the next day we spent it with hosts' families. Some rode in tractors, others spent the rest of their money on souvenirs. We even had a grill. Thanks to Agata's invitation we spent a nice afternoon beside a bonfire, eating chicken sausages. Everyone felt a little sad and melancholic since this was the last day of the exchange.

I won't write anything about the 22nd of July. The goodbyes were sad enough, without reviving them in our minds. The only comfort was the promise of another visit.

TLUMACZENIE Agnieszka Barańczuk

LUNETKA W KIESZENI

LAURA MYTNIK

W noc bardzo gwieździstą i lepką od zapachów orientu dotarliśmy na brzeg Ziemi Obiecanej. W powietrzu wyczuwało się atmosferę narastającego z każdą minutą podniecenia, bo przecież zaraz mieli przywitać nas nasi izraelscy znajomi niewidziani trzy długie miesiące. Po radosnych wyściskowych i obściskowych ekscesach na lotnisku każdy ruszył do swojego *nowego* domu ku zakłopotanym gospodarzom i takim rzeczom jak szakszuka i falafele...

Pierwszego dnia, dokładnie 31 października 2012 roku, rozpoczęło się Israeli Adventure. Mogę śmiało powiedzieć, że pierwszy raz w życiu wstałam chętnie z łóżka późną jesienią – no cóż, izraelskie słońce! Przed południem cała grupa z premedytacją odziana w szorty i wysmarowana przyspieszczami opalania udała się na rekonesans miejscowego liceum Metro West High School. Metro West umiejscowione w centrum Raanany i otoczone pięknym parkiem, zajmuje

trzy obszerne budynki budzące w członkach i członkiniach wymiany coś w rodzaju mieszanek podziwu i smutnej zazdrości. Pierwszy, który zwiedziliśmy, zawierał duży owalny hol i sale lekcyjne tak wyposażone, że Kopernik powinien schować swoją lunetę do kieszeni. Następnym była sala gimnastyczna w otoczeniu boisk i ulubieniec wielu krypto i jawno humanistów – Art Facilities Building! Sala fotograficzna, klasa malarska, aula do ćwiczeń i występów dla pełnej orkiestry... Ale w końcu z tego słynie Metro High School. Gdy oszołomienie minęło, odbyliśmy spotkanie, którego gościem był Tzvika Shahak. Miał miejsce w jednej z sal lekcyjnych na niższym piętrze, a okazjonalnie – schronie. Mieliśmy okazję zapoznać się z bardziej współczesną historią Izraela dotyczącą głównie konfliktu z Palestyną i przebiegiem Intifady (powstania Palestyńczyków), której ofiarami były również dzieci – między innymi córka Shahaka, Bat-Chen.

Było to dla nas wszystkich niezapomniane spotkanie. Bat-Chen była dziewczynką mającą przed sobą całe życie, której jedynym pragnieniem było to, aby pomiędzy Izraelem i Palestyńczykami zapanaował pokój. Pisała o tym wielokrotnie w swoich utworach, które zostały opublikowane po jej tragicznej śmierci w zamachu bombowym. Utwory te zostały przetłumaczone na wiele języków, między innymi na angielski, niemiecki, francuski, hiszpański. Niestety, brak jeszcze polskiego tłumaczenia.

Popołudnie było wolne, więc mogliśmy zorganizować je wedle naszych potrzeb i zachcianek. Po wspólnym spacerze po najciekawszych miejscach Raanany (odwiedziliśmy m.in. najstarsze drzewo w mieście – dobiło sędziwych 60 lat), kręciliśmy się w mniejszych grupkach podziwiając skąpane w słońcu centrum miasta, wcinając pyszne lody z owocami, dyskutując o celach miejscowego Centrum Koszerności.

Prawdziwym hitem okazał się wieczór spędzony w Tel Awiwie. Morze Śródziemne, palmy, bar na plaży i przyjaciele skąpani w zachodzącym słońcu!

Sączenie napojów bezalkoholowych, brodzenie w ciepłutkiej wodzie i rozmowy do późna prowadzone w języku nie mającym jeszcze nazwy, a składającym się z angielskiego, hebrajskiego i polskiego. To bez wątpienia jedno z moich ulubionych wspomnień.

CEL – PAL

Następnego dnia dołączyliśmy do wycieczki całego najstarszego rocznika Metro West na Wzgórza Golan. Tam wysłuchaliśmy w pełni hebrajskiego przemówienia traktującego podobno o wojnie Jom Kippur z 1973 roku (Izrael najechała koalicja syryjsko-egipska) i pojechaliśmy na targi wojskowe. Targi miały zakończyć się Fire-show. *Jak miło, fajerwerki!* – pomyśleli radośnie naiwni turyści. Dla nas, ludzi żyjących w kraju, gdzie panuje pokój, a wojna i siły zbrojne nie są tematem numer jeden, był to szok kulturowy. Zaczęło się stosunkowo spokojnie. Jako że każdy osiemnastoletni Izraelczyk musi iść do wojska, daje mu się pewien wybór. Może zadecydować, w jakiej części wojskowości pracuje dwa lub trzy lata, czyli najogólniej, czy będzie *latać po Strefie Gazy z granatami hukowymi*, czy też będzie na przykład budować państwowy system informatyczny. I wszystkie takie służby przedstawiały swój zakres działań w czasie targów i zachęcały młodzież do dołączenia do nich, oferując takie atrakcje jak opancerzone pojazdy i ładne mundury.

Po spędzeniu kilku godzin na oglądaniu takich stoisk wszyscy obecni udali się na stok niewielkiego wzgórza, wokół którego powiewały na ciepłym wietrze flagi Izraela. U jego stóp znajdowała się niewielka scena zapelniona artystyczną sekcją armii, która po chwili odśpiewała hymn stojącej z szacunkiem widowni. Za sceną rozciągał się widok na prawie pustą przestrzeń stosunkowo płaską i poprzecinaną śladami kół i gąsienic – poligon. Festiwal Piosenki Żołnierskiej trwał jeszcze chwilę, gdy wśród hebrajskojęzycznej publiczności zaczęło narastać podniecenie. Po części muzycznej scena przestała mieć znaczenie, na środek poligonu podjechał pojazd do tamtej pory o nic nieznaczącej dla mnie nazwie – wyrzutnia rakietowa. Z głośników popłynęło HAMESZ, ARBAH, SZALOSZ, SZTAJM, AHAD! I na to hebrajskie jeden wystrzeliła nieuzbrojona rakietka w stronę granicy z Syrią – prawdziwą, wielką i z białym ogonem dymu. Tłum klaskał z uznaniem. Wyrzutnia odjechała, pojawiły się czołgi, które serią wystrzałów wysadziły w powietrze i podpaliły niezauważoną przeze mnie wcześniej szopę wielkości

małego domu. Znów zabrzmiały oklaski i nawet pojedyncze okrzyki. Daleko po prawej stronie, patrząc z widowni, zauważyliśmy mały wojskowy samochód, który odjeżdżał zostawiając za sobą mały kopczyk. Po raz kolejny dało się słyszeć odliczanie i nagle pojawił się wybuch silniejszy od pozostałych wznoszący tumany kurzu i pionowy strumień jasnego dymu formujący się w jak najbardziej kształtny grzyb. Nad nim ciemny pierścień. Zdumieni obserwowaliśmy wiwaty zadowolenia i wojennego spełnienia tłumu. Czołgiści zagościli na scenie, przerwany festiwal trwał w najlepsze..., a ja chciałam wracać do domu.

Dalsza relacja jest zbędna, w tym opis naszych min i ogólna reakcja na owe widowisko. Powiedzmy, że niekontrolowane tańce widowni pozwoliły nam się wyluzować.

Na pewno ogromną rekompensatą tego dnia porabiającą stan naszej psychiki był wyjazd na pustynię (oraz zarciki w stylu *Ooo... strzelająca czekolada*, i *dobrze, że odwiedziliśmy Izrael, zanim on nas odwiedził*), który odbył się 1-go listopada. Poznaliśmy naszego przewodnika Amira, który okazał się mistrzem świata w przemycaniu prawdziwej mądrości w trakcie mówienia o jaskiniach. Maszerując dzielnie w prażącym słońcu, podziwialiśmy przesuszony do granic możliwości krajobraz i zwiedzaliśmy tajemnicze jaskinie (w jednej z nich znaleźliśmy nawet ślad po naszym rodaku, który brzmiał po prostu – *Polska, Rysiek*, a w innej dziwaczne przystosowania do podziemnej hodowli gołębi). Warto też wspomnieć, że odkąd odłączyliśmy się od reszty społeczności szkolnej, zaczęli nam towarzyszyć Roman i jego bezimienny kompan – ochroniarze pod bronią w stanie ciągłej czujności i z niebywałą zdolnością do zestrzeliwania chińskich lampionów groźnie latających nad obozem. Obaj czarujący, jak to na Izraelczyków przystało... :-)

IZRAELSKI SŁOŃ

Potem przyszedł czas na wizytę w parku narodowym. Był to niewątpliwie jeden z najwspanialszych punktów programu. Park Narodowy Ein Gedi to oaza w pustynnej depresji Morza Martwego, pełna zieleni, wody i przyrody zupełnie odmiennej od naszej i przywołującej z odmetów pamięci historie Ali Baby i baśnie o Alladynie. Wędrówka przez pustynną dżunglę razem z jej dziwnymi zwierzętami (np. słoniem izraelskim, który w rzeczywistości nie ma ze słoniem nic wspólnego i wygląda trochę jak surykotka), była niesamowitym doświadczeniem. Może

przyczyniła się to tego dodatkowo spontaniczna kąpiel w jednej z malowniczych zatoczek z krystaliczną wodą? Pewnie tak..., kiedy wyszliśmy z wody, która dała wspaniałe ukojenie w upalny dzień, nietrudno było mieć wrażenie pobytu na Ziemi Obiecanej.

Po prawie całym dniu chodzenia, dotarliśmy wreszcie do naszego obozu i miejsca noclegu – beduińskiego namiotu. Mieliśmy spędzić noc w depresji na wzgórzu z widokiem na Morze Martwe, do którego według izraelskich baśni spływają wszystkie lzy świata. Namiot okazał się być wielką konstrukcją pełną dywanów, koców i materacy wyposażoną w klimatyzację, oraz, jak mówiły legendy, Wi-Fi (z tym ostatnim to już jednak przesada). Po krótkim rozpoznaniu terenu i przygotowaniu sobie naszych legowisk, czekały nas zabawy integracyjne zorganizowane przez Amira, naszego niezastąpionego i genialnego przewodnika, który tym razem nauczył nas, jak efektywnie i zupełnie nie na modłę szkolną, pracować w grupie.

Po błogo przespanej nocy (wszyscy byli tak podnieceni, że spaliśmy jak aniołki), przyszedł czas na śniadanie i wyjazd nad Morze Martwe. Na miejscu przebrani już w stroje kąpielowe i w pełni gotowi do kąpiei zostaliśmy poinstruowani, że należy podczas niej zachować szczególną ostrożność, tj. nie szamotać się i nie chlapać wodą na ludzi, tudzież nie wkładać mokrych paluchów do oczu, jeśli nie chcemy, żeby nam je wypaliło. Te instrukcje, może trochę niepokojące, nie zabiły jednak naszego entuzjazmu. No i słusznie. Lewitowanie w toni gęstej od soli i dziwnie oleistej jest bardzo przyjemnym (choć szczypiącym) i niecodziennym doświadczeniem. Potem maseczka błotna wygrzebana wprost z przybrzeżnych czeluści Matki Ziemi połączona od razu z peelingiem (w naturalnym błotku było trochę naturalnych, jednak nieco drapiących kamyczków). Wszystko to tak bardzo zbliżające do natury, odprężające i o ile tańsze niż wizyta w SPA... ach! Jeszcze tylko wzruszająca mowa od Amira na temat miłości, strachu i życiowych wyborów, zostawiająca głęboki ślad na duszy, i mogliśmy jechać dalej.

Oskrobani z błota i piękni jak młodzi bogowie, ruszyliśmy do Jerozolim, miasta ciekawego nie tylko ze względu na historię, ale i współczesność. Po pokonaniu młodych jak cały Izrael przedmieść, gdzie ledwo mignął nam mur odgradzający część arabską, wstąpiliśmy na teren Miasta Dawida, czyli najstarszej części Jerozolim. *Starówka* wywarła ogromne wrażenie na wszystkich, nie tylko dzięki pięknej



architekturze i atmosferze podniosłości, ale również za sprawą, co nie powinno dziwić, Amira. Uświadomił nam, jak wielkie znaczenia dla Żydów ma świątynia bezpośrednio dotknięta przez Boga oraz że mury, na które patrzymy, były już stare za Jezusa. Dano nam również szansę podejścia pod ścianę płaczu, gdzie mistycyzm był jak zapach kadzidła w kościele – namacalny i niezapomniany. Niestety, osób nastoletnich mistycyzm nie czepia się zbyt długo i aby odreagować, wysłuchaliśmy od jednej z Izraelek porównania, że Ściana Płaczu i prośby na niej są jak wall na facebooku – wchodzisz i zostawiasz posta.

ZIMNE DZIADY – LISTOPADY

Później było niewątpliwie mniej bosko, ale równie przyjemnie. Trzeciego był piękny listopadowy dzień, wybraliśmy się więc na plażę (a co wy tutaj robiliście w te piękne polskie listopadowe dni?). I prawie całkowicie spokojnie i na luzie przeleżaliśmy na białym śródziemnomorskim piaseczku sześć godzin. Napisalam *prawie*, ponieważ część grupy (Agata, Yanir i Shai) mieli wątpliwą, acz chwalebłą przyjemność, uratowania życia tonącej staruszcze... Tak już mamy, gdzie nie pojedziemy, jesteśmy świetni i piszą o nas w gazetach! Kolejny dzień (niedziele) spędziliśmy spokojnie na grze w bilarda, rodzinnych spotkaniach i buszowaniu po gigantycznym centrum handlowym – generalnym przepuszczaniu szekli. Gdy słońce zaszło, wszyscy spotkali się raz jeszcze, tym razem na Grillu (nie

grillu, a Grillu!) u jednego z gospodarzy – Alona. Było zatrzęsienie jedzenia – falafele, jagnięcina, kebab, pita, humus, desery, a wszystko to w doborowym towarzystwie (warto pamiętać o izraelskim powiedzeniu: *kto je w samotności, umiera w samotności*!) Mama Alona to czarodziejka. Do dziś, jak pomyślę o tamtej uczcie, to się robię głodna i smutna, bo od tamtego wieczoru już nic nie smakowało tak dobrze.

OSTATKI

Jako że poniedziałek jest dniem trudnym niezależnie od kręgu kulturowego i szerokości geograficznej, nasi zaciąg gospodarze zmuszeni byli udać się do szkoły i pozostawić nas bez opieki, acz z kanapkami i prowiantem na cały dzień. Korzystając z wolnego dnia, ruszyliśmy w grupie polsko-polskiej jeszcze bardziej zintegrować się ze sobą podczas zwiedzania Tel Awiwu, a konkretnie Jaffy. Jaffa to obecnie dzielnica Wiosennych Wzgórz, turystom kojarząca się przede wszystkim z pomarańczami, zabawkami i konfliktem arabsko-izraelskim. Za względu na swoją zabudowę najbardziej kojarzyła nam się z naszym ojczystym kontynentem – wszystko było zwyczajnie wiekowe. Z nadmorskiej części rozciągał się piękny widok na telawiwskie wieżowce i błękitne morze. Ostatni raz kupiliśmy sobie falafele i wkroczyliśmy na arabski targ z prawdziwego zdarzenia. Stragany ugięły się od poukładanych fantazyjnie egzotycznych owoców, sprzedawcy pokrzykiwali, a gdy raz skrzyknęło się w jakąś alejkę, zdawała

się ona zarastać dobrami na sprzedaż. Gdy już ostatecznie splukani i obładowani pamiątkami Ziemi Świętej w kształcie hams (Hamsa to taka *łapka-talizman* mająca chronić od złego spojrzenia i innych uroków według wierzeń kabalistycznych) wróciliśmy do Raanany, czekała nas iscie ostatnia wieczórza przed odlotem do domu, jeszcze wesoła i w niejednym wypadku pełna prezentów i dobrych życzeń.

Praktycznie nie kładąc się spać, ciemną listopadową nocą ruszyliśmy w drogę powrotną. Nasz bus żegnały rodziny, które stały się nasze i ludzie, którzy stali się naszymi przyjaciółmi. Łzy płynęły i pogłębiały Morze Martwe, a w ponowne spotkanie ciężko było w tamtej chwili uwierzyć. Droga powrotna zdawała się być dużo dłuższa niż samo przybycie, nie tylko za sprawą drobiazgowej kontroli na lotnisku i standardowych przepytывanek ze strony służb mundurowych, ale również dzięki myślom kłębiącym się w głowach. W ciągu niewiele ponad tygodnia zdążyliśmy poznać kulturę zupełnie odmienną od naszej, przekonać młodych Żydów, że Polska to nie tylko skansen ich największej tragedii narodowej, ale również ich przyjaciele o życiach równie interesujących, jak ich same. My też odkryliśmy niejedno – świat nie jest taki oczywisty, a przy odrobinie empatii koło historii da się prze-rwać. Teraz pozostają tylko wspomnienia, zdjęcia i wiara w powiedzenie, że świat jest bardzo mały.

EIN KLEINES FERNROHR IN DER TASCHE



In einer Sternennacht voll von Düften des Orients sind wir am Ufer des Gelobten Landes angekommen. In der Luft konnten wir die von Minute zu Minute steigende Aufregung spüren, denn gleich sollten wir wieder unsere israelischen Freunde treffen, die wir drei sehr lange Monate nicht gesehen haben. Nach fröhlicher Begrüßung und langer herzlicher Umarmung auf dem Flughafen brach jeder zu seinem *neuen* Haus auf, zu seinen etwas verwirrten Gastgebern und zu solchen Sachen wie Schachschuka und Falafel.

Am 31. Oktober 2012 hat das Israeli Adventure begonnen. Ich kann ehrlich zugeben, dass ich zum ersten Mal in meinem Leben im Spätherbst so früh, aber trotzdem sehr gern aus dem Bett gestiegen bin. Naja, das habe ich wohl der israelischen Sonne zu verdanken! Am Vormittag begab sich die ganze Gruppe in Shorts gekleidet und mit einer Sonnenmilch eingecremt auf die Erkundung der hiesigen Metro West High School. Die

Metro West Schule liegt im Zentrum von Ra'anana in drei geräumigen Gebäuden und ist von einem wunderschönen Park umgeben, was bei den Teilnehmern und Teilnehmerinnen eine Mischung von Gefühlen hervorgerufen hat, Bewunderung und einen traurigen Neid. Das erste Gebäude, das wir zu sehen bekamen, bestand unter anderen aus einem großen ovalen Foyer und vielen Unterrichtsräumen, so gut ausgestattet, dass unser Copernicus sein Fernrohr in die Tasche stecken sollte!

Das nächste Gebäude war eine Turnhalle, von vielen Sportplätzen und Spielfeldern umgeben sowie das Lieblingsgebäude von allen leidenschaftlichen Humanisten - Art Facilities Building! Fotoraum, Kunstraum, Konzertsaal für ein ganzes Orchester... Dafür ist schließlich die Metro High School auch bekannt. Als unsere Benommenheit vorbei war, haben wir Tzvi Shahak getroffen. Das Treffen fand in einem der Klassenräume im Erdgeschoss statt und wie es sich aber später erwiesen hat, erfüllte er

zugleich gelegentlich die Rolle eines Bunkers. Wir hatten eine gute Gelegenheit, uns mit der neuesten Geschichte von Israel vertraut zu machen. Es ging hauptsächlich um den Konflikt zwischen Israel und Palästina sowie den Verlauf der Intifada, deren Opfer auch nicht selten Kinder sind, unter ihnen auch die Tochter von Shahaka Bat-Chen.

Es war eine äußerst beeindruckende und nachhaltige Begegnung für uns alle. Bat-Chen war ein junges Mädchen, sehr begabt, dessen einziger Wunsch der Frieden zwischen Israel und den Palästinenser war. Das hat sie in ihren Werken geschrieben, die dann nach seinem Tod veröffentlicht wurden.

Der Nachmittag war frei, also wir konnten ihn nach unserem Belieben planen. Nach einem gemeinsamen Spaziergang in Raanana, dem Besuch bei dem ältesten Baum der Stadt, (der bereits stolze 60 Jahre alt wurde!!!), schlenderten wir in kleineren Gruppen und bewunderten die im Sonnenlicht getauchte Stadt.

Ein wahrer Volltreffer war aber der Abend, den wir gemeinsam in Tel Aviv verbracht haben. Das Mittelmeer, Palmen, eine Strandbar und unsere israelischen Freunde bei untergehender Sonne! Das Schlürfen von alkoholfreien Getränken, Platschen

in warmem Meerwasser und lange Gespräche in einer Sprache, für die noch kein Namen erfunden wurde und die aus einer Mischung von Englisch, Hebräisch, Deutsch und Polnisch bestand. Es ist zweifelsohne eine meiner Lieblingserinnerungen.

ZIEL – SCHIESS

Am nächsten Tag haben wir uns einem Ausflug des ältesten Jahrgangs der Metro West Schule in die Golanhöhen angeschlossen. Dort hörten wir die Ansprache von einem Veteranen über den Jom Kippur Krieg von 1973 als Israel von einer syrisch-ägyptischen Koalition angegriffen wurde. Anschließend fuhren wir zu einer Art Armeemesse, die für die einzelnen Einheiten der Armee neue Soldaten unter den israelischen Schülern werben sollte. Das ganze Unternehmen sollte mit einer Fire-show ausklingen. *Wie schön, ein Feuerwerk!* – dachten fröhlich die leichtgläubigen Touristen. Für uns, junge Leute, die in einem Land leben, wo Frieden herrscht und Krieg sowie Streitkräfte auf keinen Fall das Thema Nummer eins sind, war das schon ein Kulturschock. Es begann relativ friedlich. Da jeder achtzehnjährige Israeli in die Armee gehen muss, überlässt man ihm eine gewisse Wahl. Er kann selbst entscheiden, in welche Armeeeinheit er eintritt, mit welchem Armeebereich er sich in den nächsten zwei, drei Jahren seines Lebens beschäftigen wird.

Eine großes Erlebnis für uns war die Reise in die Wüste. Unser Reiseführer Amir hat sich als ein wahrer Weltmeister in der Führung erwiesen. Indem wir brav durch die Wüste in der brennenden Hitze der Sonne marschierten, konnten wir die bis zum Gehnichts mehr dürre Landschaft bestaunen und geheimnisvolle Höhlen besichtigen. In einer von diesen Höhlen haben wir sogar eine Spur von unserem Landsmann entdeckt, die lautete schlicht *Polen, Richard*.

ISRAELISCHES ELEFANT

Dann kam die Zeit unseres Besuchs im Nationalpark. Es war zweifelsohne einer der besten Programmpunkte. Der Nationalpark Ein Gedi ist eine Oase in der Wüstenlandsenke des Toten Meeres. Die

Wanderung durch den Wüstenschlund mit seinen merkwürdigen Tieren, zum Beispiel einem *israelischen Elefanten*, der ein bisschen wie ein Erdmännchen aussah, war schon ein großes und faszinierendes Erlebnis. Zu diesem Eindruck mag wohl auch das spontane Bad in einem der pittoresken Gebirgsquellen mit kristallsauberem Wasser beigetragen haben. Mit Sicherheit, denn als wir aus dem Bach stiegen, der uns große Linderung an einem sengenden Tag brachte, konnten wir den Eindruck nicht loswerden, im Gelobten Land zu sein.

Nach dem ganzen Tag gelangten wir endlich in unser Nachtlager. In einem Beduinenzelt, auf einer Bergspitze mit einem Ausblick auf das Tote Meer, in das dem israelischen Märchen nach alle Tränen der Welt abfließen, dazu noch in einer Landsenke sollten wir die Nacht verbringen. Der Zelt war eine geräumige Konstruktion, voll von echten Beduinentepichen, Wolldecken und Matratzen, voll klimatisiert und, dem Sagen nach, mit einem Wi-Fi System, das Letzte leider etwas übertrieben. Nach kurzer Erkundung des Geländes und Vorbereitung unserer Nachtlagers warteten auf uns Integrationsspiele, die von Amir, unserem unersetzbaren und genialen Führer vorbereitet wurden. Diesmal hat er uns gezeigt, wie man effektiv in einer Gruppe zusammenarbeiten kann.

Nach der behaglichen Nacht (alle waren so erschöpft, dass wir wie wahre Engel geschlafen haben) und dem leckeren Frühstück kam die Zeit des Aufbruchs Richtung Totes Meer. Am Ufer des Toten Meeres, in Badeanzügen und zum Bad bereit wurden wir belehrt, dass man während des Bades besondere Vorsicht wahren müsse, d.h. wir sollten im Wasser nicht herumalben, andere mit Wasser bespritzen, bzw. nasse Finger in die Augen stecken, es sei denn, einer wollte die ausgebrannt haben. All diese Anweisungen, etwas beunruhigend, haben jedoch es nicht geschafft, unser Enthusiasmus lahm zu legen. Das Levitieren in salzigem und ölähnlichem Wasser des Toten Meeres war eine sehr angenehme obwohl etwas beißende und unerwartete Erfahrung. Dann war die Schlammpackung in Verbindung mit einem Peeling an der Reihe. All das hat

uns die Mutter Erde näher gebracht, dazu noch umsonst, viel billiger als in einem echten Kurort...Och! Dann noch eine ergreifende Ansprache von Amir über Liebe, Furcht und die Wahl, die man im Leben oft treffen muss und dann konnten wir weiter fahren.

Vom Schlamm befreit, schön wie der junge Frühling brachen wir nach Jerusalem auf, in eine Stadt, die nicht nur wegen ihrer Geschichte interessant ist, sondern auch wegen ihrer Gegenwart. Wir haben die alte Stadt von David, den ältesten Teil des modernen Jerusalem betreten und wurden sofort von ihrem Bann gezogen. Die Altstadt machte auf uns einen bewältigenden Eindruck, nicht nur dank ihrer unbeschreiblichen Schönheit und der Stimmung der Erhabenheit, sondern auch dank Amir, was keinen mehr in Erstaunen bringen sollte. Er erklärte uns die Bedeutung des vom Gott berührten Tempels für die Juden. Wir konnten auch an die Klagemauer dicht herantreten, an der der Mystizismus so wie der Duft des Weihrauchs in einer Kirche greifbar und unvergesslich wurde.

KALTE HEISSE NOVEMBERTAGE

Danach war es schon nicht so göttlich, trotzdem immer noch sehr angenehm. Am dritten November war ein schöner sonniger Tag, wir haben uns also an den Strand begeben (was habt ihr an diesen schönen Novembertagen in Polen gemacht?) Dann fast ganz ruhig und locker haben wir sechs lange Stunden auf dem weißen Mittelmeersand in der Sonne gelegen. Ich habe fast geschrieben, denn ein Teil unserer Gruppe (Agata, Yanir i Shai) ein zweifelhaftes, jedoch lobenswertes Vergnügen hatte, eine ertrinkende ältere Dame vor dem Tod zu retten. An und für sich sind wir halt so, dass überall, wo wir hinfahren, die Zeitungen über uns Berichte erstatten!

Den darauffolgenden Tag haben wir ganz ruhig bei Billardspielen, Familientreffen und Einkaufsummel in einem gigantischen Einkaufszentrum verbracht. Als die Sonne herunterging, trafen sich alle zum gemeinsamen Grillen im Haus einer der Gastfamilien, bei Alon's Familie. Es gab eine Fülle von Essen – Falafel, Lamm, Kebab, Pita, Humus, verschiedene leckere Nachspeisen, all das in einer

Festyn wojskowy na Wzgórzach Golan (fot. M. Kieś)



W roli głównej: My i Wzgórze Jeruzolimskie (fot. M. Kieś)



vortrefflichen Gesellschaft, dabei soll man sich den israelischen Spruch in Erinnerung zurückerufen: *Wer in Einsamkeit isst, stirbt einsam!* Die Mutter von Alon ist eine wahrhafte Zaubererin. Bis auf den heutigen Tag, immer wenn ich an diesen Abend zurückdenke, werde ich hungrig und traurig zugleich, denn seit dieser Zeit hat nichts mehr so gut geschmeckt ☺.

ABSCHIED

Da der Montag immer unabhängig von Kulturkreis und geografischer Breite ein schwieriger Tag ist, waren unsere lieben Gastgeber gezwungen, sich in die Schule zu begeben, und uns sich selbst, ohne Begleitung, jedoch mit Proviant sehr gut versorgt, zurückzulassen. Wir beschlossen also den freien Tag voll zu nutzen und integrierten uns in der polnischen Gruppe umso mehr bei Besichtigung von Tel Aviv und Jaffa. Jaffa ist gegenwärtig ein Vorort von Tel Aviv, der unter Touristen

mit Orangen, Baudenkmalern und dem palästinensisch-israelischen Konflikt assoziiert wird. Wegen seiner Bebauung assoziierten wir es jedoch am meisten mit unserem Kontinent – alles da war Jahrhunderte alt. Aus einer Anhöhe im Hafen von Jaffa erstreckte sich ein atemberaubendes Stadtpanorama von ganz Tel Aviv, über die Hochhäuser und ein türkisblaues Meer. Zum letzten Mal kauften wir Falafel und betraten einen wahren arabischen Jahrmarkt wie er im Buche steht. Die Obststände waren voll mit exotischen Früchten beladen.

Nach unserer Rückkehr nach Raanana wartete auf uns ein wahres Festmahl, das in fröhlicher und trauriger Stimmung zugleich stattfand.

Eigentlich ohne schlafen zu gehen, an einer dunklen Novembernacht begaben wir uns auf den Rückweg nach Hause. Unsere Gruppe nahm Abschied von den Familien, die inzwischen zu unseren eigenen Familien geworden waren. Viele Tränen

wurden vergossen und vertieften damit die Gewässer vom Toten Meer. An ein Wiedersehen glaubte damals kaum einer. Der Rückweg schien uns viel, viel länger zu sein, als unser Weg nach Israel. Innerhalb von kaum einer Woche hatten wir großes Glück eine Kultur kennenzulernen, die grundsätzlich ganz verschieden war als unsere. Wir hoffen auch, dass es uns gelungen ist, junge Israelis davon zu überzeugen, dass Polen nicht nur der Friedhof der größten Tragödie ihrer Nation ist, sondern auch ein Land, in dem sie viele Freunde haben und immer herzlich willkommen geheißen werden. Auch wir haben viel Neues entdeckt, erlebt und erfahren, unter anderen, dass die Welt gar nicht so offensichtlich ist, wie sie manchmal erscheint und dass der Kreislauf der Geschichte doch bei etwas Empathie durchbrochen werden kann. Jetzt bleiben nur Erinnerungen, Fotos und die Hoffnung auf ein Wiedersehen. Die Welt ist jetzt doch so klein geworden.

LITTLE TELESCOPE



On a starry night, sticky with the scents of Orient, we landed upon the shore of the Promised Land. In the air we could feel the atmosphere of excitement increasing with every minute, as we were about to be welcomed by our Israeli friends, whom we hadn't seen for three long months. After the ecstatic greeting process on the airport everybody headed for their "brand new" home, to their confused hosts and things such as shakshouka and falafel.

Day 1, 31st November 2012, the Israeli Adventure begins. I can safely say it was the first time I was happy to get out of bed in late autumn – oh, well, the Israeli sun! Before midday the whole group (intentionally dressed in shorts and smeared with suntan oils) set off to explore the local high school called Metro West. It is situated in the centre of Raanana and surrounded by a beautiful park and it occupies three spacious buildings, which evoke in exchange students something between wonder and sad jealousy. The first building we visited had a big oval hall and classrooms with equipment that puts Kopernik's little telescope to shame. The next one was a gym surrounded by sport fields and personal fave of many crypto and open humanists – Art Facilities Building! Photography classroom, painting classroom, auditorium for practice and full orchestral performances... But that's what Metro High School is famous for. When the daze passed, we had a meeting with Tzvika Shahak. It took place in one of the classrooms on the lower floor, occasionally used as a shelter. We had a chance to learn more about contemporary history of Israel, mostly about the Palestinian conflict and the course of Intifada (Palestinian Up- rising), whose victims also happened to be children, with Shahak's daughter, Bat-Chen amongst them.

It was an unforgettable encounter for all of us. Bat-Chen was a girl with a life ahead of her, whose only wish was peace between Israelis and Palestinians. She wrote about it in her diaries which were published after her tragic death (she was killed by a suicide bomber). Her writings have been translated into several languages, including English, German, French and Spanish. Sadly, no Polish translation is available yet.

The afternoon was free so we could arrange it according to our wants and needs. After a walk to the most interesting places in Raanana (among others the eldest tree in the city – it's struck a fine 60), we loitered around in smaller groups admiring the city centre bathed in sunlight, savouring delicious ice cream with fruit and discussing the purposes of the local Kosher Centre.

What turned out to be the real highlight was an evening in Tel-Aviv. The Mediterranean Sea, palm trees, a bar on the beach and friends bathing in the setting sun! Sipping soft drinks, floundering in warm water and late night talking in a yet unnamed language consisting of English, Hebrew and Polish. This is beyond doubt one of my best memories.

AIM – FIRE!

The next day we joined an excursion of all senior year students of Metro West to Golan Heights. There we listened to an all-Hebrew speech supposedly about the Yom Kippur war of 1973 (Israel was invaded by the Syrian-Egyptian coalition) and we went to a military fair. They were supposed to end with a fire-show. *How nice, fireworks!* naive tourists thought.

For us, people living in a country where peace prevails, and war as well as military forces are not the

mainstream subject, it was truly a culture shock. It began quite calmly. Since every eighteen-year-old Israelite has to go to the army, they're given some choice. They may decide which part of the military they'll work in for two or three years, i.e. whether they're going to *run around the Gaza Strip with stun grenades* or, for instance, construct the country's computer system. And all of those services were showing their scope of work during the fair and encouraging the youngsters to join them, offering such advantages as armoured vehicles and shiny uniforms.

After spending a few hours watching those stalls, all the attendees headed for a small hill, surrounded by Israeli flags waving in the warm wind. At its foot there was a small stage occupied by the artistic section of the army that after a while sang the anthem to the respectful crowd. Behind the stage there was a view of an almost empty space, quite flat and crisscrossed with tracks of wheels and tanks – a firing range. The Military Song Festival had lasted for one more minute when excitement arose in the midst of the Hebrew-speaking audience. After the music part the stage did not matter any more; a vehicle appeared, whose name had been just an empty word to me up to that day – a rocket launcher. We could hear the speakers go: HAMESH, ARBAH, SHALOSH, SHTAYIM AHAT! And at this Hebrew *one* the launcher shot an unarmed rocket towards the Syrian border – a real one, big with a white tail of smoke. The crowd applauded with appreciation. The rocket launcher drove away, tanks appeared blowing out and setting fire to a little shed, the size of a little house, invisible to me before. Again, applause resounded along with single shouts. Far to the right from the audience we discovered a little military car that was driving away, having left a tiny mound. Once again we could hear the countdown and suddenly an

explosion could be heard, even wilder than all the previous ones, raising clouds of dust and a vertical stream of bright smoke, which formed a most shapeful mushroom. Above there was a dark ring. Baffled, we observed cheers of joy and the crowd in war ecstasy. The tank soldiers came on stage, the interrupted festival went on..., and I wanted to go home.

A further relation is needless, including the description of our faces and the general reaction to this performance. Let's just say that uncontrollable dances of the crowd let us chill out.

What was surely a great compensation for that day, repairing the state of our minds, was a trip to the desert, which took part on the first of November. (as well as jokes such as *Ooh... exploding chocolate*, *THEMATIC* and *It's good we've decided to visit Israel before it came to visit us*). We met our guide Amir, who turned out to be the champion of smuggling real wisdom while speaking about caves. Marching bravely in the scorching sun we admired the completely dried landscape and walked through mysterious caves (in one of them we even found a trace of our fellow countryman, which just said *Poland*, *Rysiek*, and in another - weird adaptations for underground pigeon farming). It's worth mentioning that since we parted with the rest of the school society, we were accompanied by Roman and his nameless companion - guards with weapons, constantly alert, and with an amazing ability to let off Chinese lanterns, dangerously floating above the camp. Both charming, as all Israelites are...:-)

THE ISRAELI ELEPHANT

Then the time came to visit the national park. It was undoubtedly one of the most wonderful items on our agenda. Ein Gedi National Park is an oasis in the middle of the desert Dead Sea Depression, full of grass, water and nature completely different from ours and bringing back stories about Ali Baba and the fairytales of Aladdin from the depths of our memory. The journey through the desert jungle along with its weird inhabitants (like the Israeli elephant, which isn't really an elephant and looks like a meerkat) was an incredible experience. Possibly a spontaneous bath in one of the picturesque bays with crystal water contributed to it? Very likely... when we got out of the water that gave us a delightful relief on this hot, hot day it wasn't hard to believe we were in the Promised Land.

After wandering for almost a whole day we finally reached our camp and the sleeping spot - a bedouin tent. We were to spend the night in the depression on a hill with the view on the Dead Sea, to which, according to Israeli tales, all tears of the world flow. The tent turned out to be a big construction full of carpets, blankets and mattresses equipped with air conditioning and as legends said, Wi-Fi (though I wouldn't be going as far as this one). After exploring the territory and

preparing our beds, we had some integration games organised by Amir, our irreplaceable and brilliant guide, who this time taught us how to work in a group effectively, not after school's fashion.

After a blissful sleep (everybody was so exhausted we slept like angels) the time came to have breakfast and leave for the Dead Sea. On the spot, already dressed in swimwear and totally ready for the bath we were instructed that it is necessary to remain cautious, not flail around and splash water at people, as well as restrain from putting wet fingers in our eyes if we don't want them burnt. Those instructions, just a little bit disturbing, didn't manage to kill our enthusiasm. Quite right. Floating in the water dense with salt and oddly greasy is a very pleasant (though tickly) and unusual experience. Then a mud mask dug up right from the coastal depths of Mother Earth mixed with peeling (in the natural mud we could find some natural, yet somewhat scratching rocks). All of this so nature touching, relaxing and much cheaper than a visit to SPA... ah! Just a heart-breaking speech from Amir about love, fear and life choices leaving a mark on our souls and off we went.

Scrubbed from the mud and beautiful as young gods, we headed for Jerusalem, a city interesting not only because of its history but also because of what we can find there today. After making our way through the suburbs where we barely saw the wall separating the Arabian part, we arrived at the area of the City of David, which is the oldest part of Jerusalem. *The Old Town* was really impressive, not only thanks to the beautiful architecture and the solemn atmosphere but also, which shouldn't be surprising, because of Amir. He made us realise how important to Jews the temple touched by God is and that the walls that we look at were already old in Jesus' times. We were also given the chance to approach the Wailing Wall, where the mysticism was like the smell of incense in church - tangible and unforgettable. Unfortunately, young people can't be touched by mysticism for long and to take it out we listened to an Israeli girl's comparison: the Wailing Wall and requests on it are just like a Facebook wall - you visit and leave a post.

COLD NOVEMBERS

Later it was certainly less divine, but equally pleasant. It was a beautiful third of November, so we went to the beach (and what were you doing on these beautiful Polish November days?). We did almost nothing but relaxed on the white Mediterranean sand for six hours. I wrote *almost* because part of the group (Agata, Yamil and Shai) had a doubtful yet glorious pleasure of saving the life of an old lady drowning... That's just us, wherever we go we're great and mentioned in newspapers!

The following day (Sunday) we played pool leisurely, meeting our host families and surfing through a gigantic mall - blowing shekels away. When the

sun set everybody met once more, this time on a Grill (not grill, but Grill!) at one of the hosts', Alon's place. There was a plentitude of food - falafels, lamb, kebab, pita, humus, desserts and all of this in excellent company (it's good to keep in mind the Israeli saying: *who eats alone, dies alone*)! Alon's mum is a real enchantress. Up to this day when I think about that feast I'm getting hungry and sad, because nothing has tasted so good ever since.

THE LAST DAYS

Since Monday is just a hard day regardless of the culture or latitude, our noble hosts were forced to go to school and leave us without custody, although with sandwiches and other eatables for the whole day.

Using a day off, we went as a Polish-Polish group to integrate with each other even more while exploring Tel-Aviv, to be specific, Jaffa. Jaffa is currently the capital of Spring Hills, for tourists mainly known for oranges, relics and the Arabian-Israeli conflict. Because of its development it mostly brought us to mind our father continent - everything was just old. From the seaside we had a beautiful view on the Tel-Aviv skyscrapers and the blue sea. We bought ourselves falafels for the last time and went to a real Arabian market. The stalls were groaning with fancy arrangements of exotic fruit, the salesmen were yelling, and when you entered an alley it seemed to be overgrowing with goods for sale. When we were finally broke and loaded with souvenirs of the Holy Land including hamzas (hamsa is a paw-amulet made to protect one from evil eye and other bad charms according to the Cabala beliefs) and returned to Raanana, there was a real last supper waiting for us before our departure, still cheerful and full of gifts and wishes.

With hardly any sleep, on a dark November night we headed for home. Our bus was waved goodbye by the families that became ours and people who became our friends. Tears ran and deepened the Dead Sea, and it was hard to believe at that very moment that a chance of another meeting could ever exist. The road back seemed to be longer than the arrival, not only because of an extensive airport check and usual interview with the uniformed services, but also thanks to the thoughts whirling in our heads. Within not much over a week we managed to get to know a culture that's completely different from ours, convince young Jews that Poland isn't only a heritage park of their worst national tragedy but also their friends with lives as interesting as theirs. We ourselves also have discovered a lot - the world isn't so obvious and with a little bit of empathy the chain of history may be broken. Now all that remains are memories, photographs and belief in the saying that it's a rather small world.

CO KRYJE SIĘ ZA RUCHOMYMI DRZWIAMI

Prawie każdemu kołobrzeżaninowi słowo Kopernik nie tylko kojarzy się ze słynnym astronomem, ale przede wszystkim z najlepszą szkołą w mieście. Czy oprócz zdolnych uczniów i dobrych nauczycieli to liceum może się jeszcze czymś pochwalić? Czy kiedykolwiek ktoś się zastanawiał, co kryje się za słowem najlepsza?

SUKCES MUROWANY (CZERWONĄ CEGŁĄ)?

Eberhard Snell, projektant i budowniczy budynku I LO, stworzył obiekt, który w latach 30. XX wieku zaskakiwał formą i był rewolucyjną nowością. Nie tylko pod względem architektonicznym, ale i praktycznym. Wszystkie sale lekcyjne wychodzą bądź na południe (w skrzydle zachodnim), bądź na wschód (w skrzydle południowym). Dzięki czemu są one osłonięte od wiatru, a słońce dociera do każdego ich zakamarka. To tylko fragment z długiej listy zalet czerwonego budynku, który zachwycał kiedyś i zachwyca dziś.

Pierwsi licealiści przekraczając próg Czerwonego, nie zdawali sobie sprawy, że pracują na przyszły sukces szkoły. Ambitni uczniowie i nowoczesna szkoła wystartowali w biegu o najwyższą stawkę – prestiż, tradycję, renomę. Czy całej drużynie (ambitnej i nowoczesnej) udało się przekroczyć linię mety?

CO KRYJE SIĘ ZA RUCHOMYMI DRZWIAMI?

W przekonaniu mieszkańców Kołobrzegu Kopernik to szkoła z duszą, do której klucz mają tylko nieliczni – zdolni, ambitni uczniowie i wykwalifikowana kadra pedagogiczna. Punkt widzenia może zmienić się wraz z rozsunięciem drzwi. Co się za nimi kryje?

Zapraszamy na wspólny spacer po szkole. Przekraczając jej progi od razu można dostrzec społeczność idącą wraz z postępem technologii i zastygłą w peerelowskim klimacie wnętrza. Z pewnością zachwyci każdego odnowiony sekretariat, gabinet dyrektora czy pokój nauczycielski. Śmiało można stwierdzić, że są to miejsca, które nie tylko imponują nowoczesnym wystrojem, ale jednocześnie nie pasują do pozostałej części budynku. Na głównym holu uwagę przykuwa gablota, w której zgromadzone są liczne puchary i statuetki zdobyte przez absolwentów i obecnych uczniów Czerwonego. Główny hol to jednocześnie Zielone, czyli najpopularniejsze miejsce spotkań młodzieży podczas przerwy. Tuż po dzwonku na lekcje wszyscy przechodzą do klas. Jest ich 22, z czego zaledwie kilka przystosowanych do standardów XXI wieku. Mowa tu o jed(y)nej tablicy interaktywnej, paru projektorach, kilku telewizorach i niewielu nowych ławkach. Nie tylko brak przydatnego wyposażenia

sprawia, że uczniowie nie mają odpowiednich warunków do nauki, ale także wystrój i stan techniczny pomieszczeń pozostawia wiele do życzenia.

Ogromnym atutem Kopernika jest aula, której pozazdrościć mogłaby niejedna szkoła. Przestronna, z balkonem i dużą sceną, ale wystrój wnętrza niweluje wszelkie jej walory. Ponadto odbywają się w niej lekcje wychowania fizycznego, dlatego nikogo już nie dziwią tam materace, sprzęt sportowy oraz nieprzemna woń potu. Bez wątpienia wielką zaletą szkoły jest obserwatorium astronomiczne. Niestety, zamknięte dla uczniów, którzy nie należą do koła astronomicznego.

Na najniższym poziomie mieści się szatnia oraz sala gimnastyczna. Wszyscy z niecierpliwością wyczekują na ich remont (zapowiedziany na jesień br.) w nadziei, że przebiegnie on pomyślnie, a odnowione wnętrza nie będą już zagrażać bezpieczeństwu.

Czerwony, jako jedyna szkoła w powiecie, dysponuje stadionem lekkoatletycznym. Jak się okazuje, jest on wielofunkcyjny, bo jego przeznaczenie zmienia się wraz z pogodą. Od wielu lat istnieje projekt jego modernizacji. Podczas corocznych uroczystości szkolnych władze miasta zapewniają, że przebudowa stadionu odbędzie się już ... wkrótce!

BUDŻET VS WYDATKI

Z rozmowy z panem Józefem Skorupińskim, dyrektorem I LO w Kołobrzegu, dowiedzieliśmy się, że przyznawany naszej szkole budżet (ok. 4.5 mln zł) nie pokrywa w pełni kosztów utrzymania szkoły, a co za tym idzie, nie dysponujemy pieniędzmi na modernizację pomieszczeń szkolnych. Dlatego przychody własne (tj. pieniądze z kolonii, wynajmu sal, auli itd.) stanowią uzupełnienie budżetu i wykorzystywane są na bieżące wydatki szkoły. Jeśli część z nich uda się zaoszczędzić, to wówczas zostają one przeznaczone na remonty.

Postanowiliśmy sprawdzić, czy inne kołobrzeżskie szkoły ponadgimnazjalne mają podobne problemy finansowe. W tym celu udaliśmy się





Uczniowska szatnia



Aneks kuchenny w pokoju nauczycielskim



Rolety w sali lekcyjnej

fot. J. Piąsta

do II LO im. Henryka Sienkiewicza oraz do ZSE-H im. Emilii Gierczak. Zarówno w jednej, jak i drugiej szkole, przyznawany budżet nie wystarcza na pokrycie wszystkich kosztów związanych z jej utrzymaniem, remontami czy modernizacją. Jednak obie placówki każdego roku starają się opracować plan budżetu w taki sposób, aby otrzymane środki wystarczyły na pokrycie (nawet tych nieprzewidywanych) wydatków. Wszelkie braki w budżecie rekompensują dochody własne. Oprócz tego nauczyciele starają się angażować w jak największą liczbę projektów, dzięki którym placówki otrzymują dotacje, wyposażenie sal, itp. Jest to także (a może przede wszystkim) szansa na uzyskanie renomy zarówno w kraju, jak i za granicą. Przekonał się o tym *Ekonom* oraz *Sienkiewicz*. Teraz mogą pochwalić się nowoczesnymi (kilkoma!) pracownikami informatycznymi. Ponadto w szkołach tych era papierowych dzienników odeszła w zapomnienie, funkcjonują dzienniki elektroniczne.

Warto zwrócić uwagę, iż *Kopernik* w przeciwieństwie do ww. placówek nie jest szkołą zawodową. Dlatego mimo szczyrych chęci nie może brać udziału w wielu projektach, które zazwyczaj kierowane są właśnie do zawodówek. Zatem dlaczego tak dobremu liceum jest odbierana szansa na rozwój?

– *Ekonom* to nie szkoła tylko holding, który składa się z dziewięciu typów szkół, centrum kształcenia praktycznego z własnymi cukierniarniami, restauracjami i hotelem oraz systemu kształcenia dorosłych. Łącznie potrafimy wygenerować dochody własne rzędu ok. 12–13 milionów złotych – mówi dyrektor ZSE-H, Zbigniew Stankiewicz. Subwencja (czyli pieniądze przyznawane w przypadku Kołobrzegu przez Starostwo Powiatowe szkołom ponadgimnazjalnym) II LO jest zbliżona do tej jaką otrzymuje

Kopernik. Jednak pan Mirosław Ołdak, dyrektor II LO zauważa: – Udać nam się uzyskać przychody własne dwa razy większe od tych planowanych. Tak było chociażby w ubiegłym roku szkolnym. Dzięki temu możemy sukcesywnie realizować nasz plan modernizacji szkoły zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz.

DYREKTOR – PEDAGOG – MANAGER

Uczniowie to zdecydowanie mocna strona czerwonego ogólniaka. – Kiedy dowiaduję się o sukcesach kołobrzесьkiej młodzieży, nie ma co ukrywać, niemal zawsze mowa o uczniach *Kopernika* – podkreśla Starosta Powiatu, Tomasz Tamborski. Rzeczywiście, liczba laureatów konkursów wychodzących na środek podczas Święta Szkoły jest imponująca. Imponuje także przemówienie dyrektora skupione głównie na pochwałach uczniów, nauczycieli i szkoły jako placówki oświatowej. Jednak nigdy w tym oficjalnym przemówieniu nie zwraca się uwagi na jej potrzeby. Przybyli przedstawiciele kołobrzесьkich władz nigdy nie dowiadują się, jak bardzo odbiega ona (pod względem wyposażenia i zaplecza) od innych szkół w naszej okolicy. Nie wiedzą też, że laureaci konkursów, którzy nie opłacili (dobrowolnej) składki na Radę Rodziców, wychodzą z auli tylko z dyplomem, a nie z nagrodą, po którą zostali *wywołani na środek*.

– Skoro wszyscy chwalą *Kopernika*, to ja również uważam, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Kiedy nikt nie mówi o problemach, to my, jako organ prowadzący, również ich nie dostrzegamy. Jestem zdania, że uczniowie *Czerwonego* powinni nosić mundurki i w ten sposób chwalić się szkołą z tradycjami i historią – mówi Starosta Kołobrzegi. Jednak czy to jest sprawa pierwszorzędna? Czy lepiej chwalić

się strojem, czy dobrymi warunkami do nauki? Choć nasze spostrzeżenia pan Tomasz Tamborski obiecał wziąć sobie głęboko do serca, to jednak stwierdził, że jego najbliższej wizyty w naszej szkole możemy spodziewać się dopiero po planowanym remoncie piwnicy i sali gimnastycznej. Starosta zwrócił również uwagę, podobnie jak dyrektorzy innych szkół, z którymi mieliśmy okazję rozmawiać, na korzyści płynące z udziału we wszelkiego rodzaju konkursach i projektach dla placówek oświatowych:

– O taki rozwój szkoły powinien się starać dyrektor, który musi być także pedagogiem i managerem. Nie jestem w stanie wskazać, która z tych trzech funkcji jest najważniejsza. Może problem tkwi w tym, że inni dyrektorowie pukają do moich drzwi częściej?

A my zadajemy sobie pytanie, dlaczego władze nie interesują się zdolną młodzieżą i ich szkołą? Smutny jest fakt, że ta amnezja ustępuje w momencie, kiedy Ci zdolni ludzie zdobywają sukcesy i są idealną reklamą miasta...

KTO DOBIEGŁ DO METY?

Jakie warunki panują na co dzień w *Koperniku* wiedzą tylko uczniowie i pracownicy szkoły. Choć każdy chciałby coś zmienić, to jednak wszyscy rozkładają ręce z bezsilności i nie wierzą, że często chcieć oznacza także i moc. Przecież swego czasu młodzież wraz ze swoją szkołą wystartowała w biegu o najwyższą stawkę. Renoma, tradycja i prestiż zostały zdobyte. Uczniowie dobiegli do linii mety. Jak daleko za nimi została niegdyś nowoczesna szkoła?

Justyna Piąsta, Grzegorz Dobek we współpracy z Michałem Sypień i wszystkimi osobami, które przyczyniły się do napisania tego artykułu



fot. M. Kalinowski

Kopernikański Shake

Na początku marca br. do znanego na całym świecie grona Harlem Shake'owców dołączyliśmy i my – uczniowie Czerwonego.

Całe przedsięwzięcie zapoczątkowała Oliwia Górzyńska, uczennica drugiej klasy humanistycznej. Stworzyła wydarzenie na facebook'u i zaprosiła znajomych do wzięcia udziału w kopernikańskiej wersji Harlem Shake'a.

– Reszta potoczyła się sama – jak mówi Oliwia. – Z dnia na dzień przybywało chętnych, którzy uważali, że to świetna inicjatywa. Oczywiście nie zabrakło też głosów sprzeciwu, ale to w niczym nam nie przeszkodziło. Głównym celem była dobra zabawa oraz integracja i właśnie to osiągnęliśmy!

Fenomenem filmików Harlem Shake są zdecydowanie stroje uczestników i ich zwariowane ruchy. W kopernikańskim shake'u nie zabrakło znanych ról śpiwora czy pletwonurka. Oprócz tego pojawił się dmuchany statek z szalonym koniem na pokładzie.

Uczniowie i LO to zdolna młodzież, która również potrafi się świetnie bawić (choć może w trochę niekonwencjonalny sposób). Niech stanie się wzorem do naśladowania, bo przecież w życiu oprócz ciężkiej pracy liczy się także – dobra zabawa!

Justyna Piąta



Kopernik Harlem Shake

38 Znajomi gości · Przez: Oliwia Górzyńska

Osoby, które wezmą udział (62)



Może (31)



Piątek 14:40

na zielonym

Wiadomo, o co chodzi (jak nie, to odsyłam tutaj: <https://www.facebook.com/ThaHarlemShake?ref=ts&fref=ts>). Zoobaczyć się w stroje i widzimy się na zielonym po 7 lekcji. Zapraszamy znajomych :)

Posty

Pokaż odrzucone zaproszenia

Napisz post Dodaj zdjęcie lub film Zadaj pytanie

Napisz coś...

Najnowsze posty

NAJNOWSZE POSTY



GRA SŁÓW

Przeglądając strony internetowe, jesteśmy zasypywani masą informacji. Często jednak nie jesteśmy świadomi, że wiele na pozór ciekawych i ważnych newsów wciąga nas w pułapkę.

ZŁUDZENIE CZY PRAWDA

Dziś w języku potocznym przeciętnego Internauty takie terminy jak: pudelek, pomponik czy koktajl są prawdopodobnie równie powszechne, jak adidasy. Trudno jest znaleźć osobę, której choć raz nie zdarzyło się (celowo czy też przez przypadek) nie odwiedzić portalu plotkarskiego czy nie przeglądać kolorowego czasopisma. Często jednak apetyt rośnie w miarę jedzenia i chcemy coraz więcej i więcej. Czego? Sensacji, skandali, krytyki, których (akurat) w tabloidach nie brakuje. Rzekomo przeciętny zjadacz chleba zamiast recenzji płyty woli przeczytać, jakie wynagrodzenie ktoś dostał za jej nagranie. Podobno też bez czytania książki ma już o niej (zwykle negatywną) opinię. Zapewne bardziej podobają mu się rozpiselowane zdjęcia wykonane ukradkiem i pokazujące chociażby kolor bielizny, jaką włożyła gwiazda na jakąś galę, niż profesjonalne sesje fotograficzne tej samej osoby. Jednak czy jesteśmy świadomi ilości śmieci, jaką wrzucamy sobie niepotrzebnie do głowy?

DRUGA STRONA

Dla odbiorców takie informacje zapewne są przyjemne w lekturze, a co gorsza (w ich mniemaniu) prawdziwe. Jednak po drugiej stronie barykady wygląda to zupełnie inaczej. Oczywiście, w każdej plotce jest odrobina prawdy. Jednak według osobistości świata show-biznesu odrobina ta stanowi zaledwie 10% całego artykułu. Zazwyczaj publikowane informacje są wyssane z palca i tak skonstruowane, aby (wbrew pozorom) nikogo nie urazić. Czy takie nagłówki, jak: *Cichopek zwolniła kota z M jak miłość*, *Herbuś wypina się do fotografów* czy *Rozenek kupuje szampana za 200 zł* nie zachęcają do przeczytania tekstów? Przecież, jak można zwolnić kota czy jak aktor śmie kupować butelkę alkoholu za 200 zł? Odbiorców to bawi, ale artystów godzi w dobre imię. Dlatego często szczekające pieski spotykają się ze swoimi ulubieńcami w sądzie.

PRZEGRANY ZWYCIĘZCA

W styczniu br. najpopularniejszy serwis plotkarski został odwiedzony przez prawie 2,5 mln Internautów, którzy wyświetlili go ponad 227 mln razy. Oznacza to, że na daną stronę weszła co ósma osoba korzystająca z Internetu. Takie liczby prawdopodobnie utwierdzają kolorowych dziennikarzy, że są oni potrzebni ludziom i dlatego niestraszne są dla nich oskarżenia, jakie wpływają ze strony bohaterów ich artykułów. Jednak często bohaterami zostają ci, którzy dzięki użyciu w swoich tekstach takich ozdóbników jak: zapewne, prawdopodobnie, rzekomo, niby itp. stają się *bezbrownymi pieskami*, którym trudno jest udowodnić jakąkolwiek winę.

17% polskich Internautów twierdzi, że nie odwiedza ani nie czyta portali czy gazet plotkarskich. Jednak ilu z nich daje się nieświadomie wciągnąć w grę słów, tak jak TY – Drogi Czytelniku?

Grzegorz Dobek



F R E E U

O występach na scenie,
przygodzie z dziennikarstwem,
pobycie w Ameryce i tolerancji
opowiada czytelnikom **READ**
DELUXE prof. Artur Dzierkowski.



fot. W. Dzierkowski

READ DELUXE: Co wpłynęło na to, że wybrał Pan Zespół Szkół Morskich i profil związany z ochroną środowiska?

ARTUR DZIERKOWSKI: Ekologia i ochrona środowiska była 20 lat temu czymś zupełnie nowym. Powstały w Zespole Szkół Morskich kierunek cieszył się bardzo dużym zainteresowaniem. Wielu młodych ludzi, w tym również ja, zamiast liceum wybrało pięć lat w mundurze, naukę chemii w laboratorium analizy i praktyki w oczyszczalni ścieków i Sanepidzie.

Wiązał Pan z tym jakieś plany?

Jakie można mieć plany, jak się ma 15 lat? Myśleliśmy, że będziemy ekologami, choć mało kto wiedział, co to znaczy. Dziś każdy z nas robi coś innego. Co ciekawe, z mojego rocznika wylęgło się paru nauczycieli i wykładowców, w tym trzech anglistów!

Czy mimo wszystko ochrona środowiska jest dla Pana ważna?

W technikum walczyliśmy z dzikimi wysypiskami, dbaliśmy o plażę i wydmy. Dziś nie jestem eco-warriorem, ale ekologia jest moim konikiem. Na lekcjach angielskiego jest to ważny blok tematyczny z katalogu maturalnego. Mam też obsesję na punkcie recyklingu i segregowania odpadów.

Wiem, że oprócz dbania o środowisko, znalazł Pan czas, żeby redagować gazetkę szkolną.

Istotnie miałem w swoim życiu *dziennikarski* epizod. Od zawsze miałem takie przekonanie, że jak się ma coś ciekawego albo ważnego do przekazania, to trzeba to gdzieś wykrzyczeć. Jedni mażą po murach, inni wołają *ustawki*, my wraz z grupą przyjaciół z Morskiej stworzyliśmy gazetkę, którą nazwaliśmy *Przeciek*. Pisana trochę ręką, trochę na komputerze, była w całości nasza i przez nikogo niecenzurowana. Potem nabrałem wiatru w żagle i pisałem trochę do kołobrzeskich gazet. Poznałem tam ciekawych ludzi. W Głosie Pomorza pracował wtedy śp. Andrzej Grabowski, twórca Kołobrzeskiego Teatru Muzycznego, dzięki któremu przeżyłem ekscytującą przygodę występując na scenie w dwóch projektach KTM.

Interesował się też Pan aktorstwem?

Zagrałem w dwóch ostatnich musicalach. Były to *Prochy* (grałem przyjaciela narkomana) i *Układanka* (wcieliłem się w dwie

role, chłopaka pogrążonej w depresji romantyczki i księdza). Aktorstwo to zbyt duże słowo, bo byliśmy prawie wszyscy amatorami, ale reżyser podchodził to tego z wielką pasją, potrafił też zaangażować prawdziwych profesjonalistów, np. Grzegorza Skawińskiego, który skomponował utwór do *Prochów*.

Naprawdę? Śpiewał Pan do utworu Skawińskiego?

Utwór Skawińskiego był wykorzystany do układu choreograficznego. Nie śpiewałem, bo nie umiem. W *Prochach* trochę udawałem, że śpiewam – głosu użyczył mi Krzysiek Grabowski, brat Andrzeja. Nie była to więc muzyczna pasja. Jeśli chodzi o muzykę, to była moją pasją od zawsze, ale od strony odbiorcy. Jestem z pokolenia prawdziwego MTV (tego, które pokazywało teledyski). Moim idolem był Marek Niedźwiecki. Znałem wszystkie nurty, zespoły, nowości, wiedziałem, co się dzieje na listach przebojów *Trójki* i MTV. Był okres, że marzyłem by zostać dziennikarzem muzycznym. Nawet męczyłem mojego brata, aby słuchał mojej własnej listy przebojów (śmiech).

Mimo wszystko wybrał Pan filologię angielską.

Do tych studiów nikt mnie nie namawiał. Od razu wybrałem filologię w kolegium nauczycielskim i nigdy tego nie żałowałem. Chciałem być nauczycielem.

Podobno po studiach był Pan w USA.

Była to kilkumiesięczna wakacyjna przygoda. Najdłużej byłem w Atlantic City w stanie New Jersey. Dorywczo pracowałem tam przy budowie domu, przybijając siding (takie zewnętrzne panele). Wbijanie gwoździ za gwoździem nie było specjalnie rozwijające, za to okolica była malownicza. Czasem zapatrzyłem się na ocean, co kończyło się trafieniem młotka w palec. Innym wyzwaniem było rozwożenie gazet do sieci sklepów całodobowych. Dostałem dużą ciężarówkę, którą za noc przemierzałem blisko 200 km. Największym problemem było opanowanie trasy w ciągu kilku dni, ale udało się i wszystko szło gładko do momentu, kiedy pewnego razu musiałem wyjechać w południe. Okazało się, że w dzień wszystko wygląda inaczej, przegapiłem parę punktów odbioru, nie dostarczyłem wszystkich gazet i zgubiłem się. W efekcie wróciłem parę godzin później z niedostarczonym towarem, ale nikt nie

R M I N D !

miał pretensji. Miałem też przyjemność pracować na budowie przy wyładunku pustaków. Był lipiec, temperatura sięgała 45°C przy wysokiej wilgotności powietrza. Dwa litry picia, które zabrałem rano z sobą wystarczyły na niecałą godzinę. Wytrzymałem do końca dnia i powiedziałem *I quit!*.

I wrócił Pan do Kołobrzegu.

Za zarobione pieniądze zwiedziłem Filadelfię i Nowy Jork. Nigdy nie zamierzałem zostać na stałe w USA czy wyemigrować do innego kraju, choć muszę przyznać, że właśnie Nowy Jork zrobił na mnie największe wrażenie. To prawdziwa stolica świata, która nigdy nie zasypia.

Z tego co wiem, sporo Pan podróżuje. Czy to właśnie poznawanie świata wpłynęło na to, że jest Pan tolerancyjny? Niewątpliwie jest tak Pan postrzegany przez otoczenie.

Nie będę zbyt oryginalny, jeśli powiem, że podróże wzbogacają. Po angielsku mówi się *travelling broadens the mind*. Myślę, że najważniejsze jest właśnie to, że podróże otwierają nam umysł, pozwalają spojrzeć na świat z innej perspektywy. Cieszę się, jeśli jestem tak postrzegany. Staram się być wolny od uprzedzeń i taką postawę promować wśród ludzi, z którymi mam do czynienia. Mam nadzieję, że nie jestem pod tym względem wyjątkiem. Praca pedagogiczna w dużej mierze polega na budowaniu właściwych relacji, a do tego potrzeba otwartości na drugiego człowieka. Niestety w naszej przestrzeni publicznej aż roi się od postaw pełnych pogardy, od nietolerancyjnych

pseudopolityków do internetowych hejterów opluwających wszystko i wszystkich. Dlatego szkoła musi być otwarta i tolerancyjna. *Free your mind and the rest will follow...*

W takim razie nauczyciel to tylko zawód czy może też powołanie?

Zabrzmiało to może patetycznie, ale zdecydowanie bardziej powołanie. Młodzi ludzie spędzają w szkole ogromną ilość czasu, który w dużym stopniu rzutuje na ich dorosłe życie. W konsekwencji kondycja szkolnictwa wpływa na jakość życia w państwie. Do tego potrzeba zaangażowanych ludzi. Tych, którzy uważają, że nauczyciele to rzemieślnicy, których pracę można łatwo rozliczyć po ilości postawionych ocen czy wypełnionych rubryczek, należałoby wystrzelić w kosmos!

Nietrudno dostrzec, że zawsze przyjeżdża Pan do pracy samochodem. Lubi Pan też piesze wędrówki?

Faktycznie, jeżdżę do pracy samochodem. Mam dosyć mało czasu w ciągu dnia i samochodem jest po prostu szybciej. I można słuchać radia, np. Czwórki, której jestem oddanym fanem. Chyba mało kto wie, że wśród redaktorów jest dwoje naszych absolwentów (Kasia Węsierska i Piotrek Galus). Podziwiam prof. Mężyńskiego, który jeździ rowerem cały rok. Ja czekam na lepszą pogodę. Przesiadam się wtedy na swojego górala. Odpowiednią dawkę wysiłku serwuję też sobie w siłowni, to pewien rodzaj pozytywnego uzależnienia.

Niewątpliwie jest Pan jednym z najlepiej ubierających się nauczycieli w naszej szkole. Interesuje się Pan modą albo tym, co jest akurat trendy?

Bez przesady! Nie przywiązuję aż takiej wagi do ubioru. Lubię tzw. smart casual, czyli coś w rodzaju codziennej elegancji. Nie przepadam za zbyt oficjalnym strojem. Moje zainteresowanie modą kończy się na oglądaniu wystaw sklepowych. Nie lubię czasochłonnych zakupów.

A jak Pan ocenia ubiór uczniów?

Podoba mi się, jak ubierają się uczniowie w naszej szkole. Zanikają kody subkulturowe, a mimo to młodzież ma styl, panuje swoboda, nikt nie musi zwracać uwagi strojem. Gorzej wygląda sprawa uroczystości, chociażby takich jak Święto Szkoły. Obowiązuje strój galowy, ale chyba nie rozumiemy, co to znaczy. Jedni przychodzą w garniturach, inni w dresach. A tak naprawdę wystarczyłyby białe koszule i bluzki.

Na koniec chciałbym, żeby zdementował lub potwierdził Pan jedną z plotek na Pana temat. Czy rzeczywiście parę lat temu podczas jednej z lekcji smarował się Pan olejkim do ciała?

No cóż. Wypada tylko rozprawić się z tą plotką raz na zawsze. Jest tak samo prawdziwa jak ta, która głosi, że najszybszy Internet w szkole jest w sali 24.

ROZMAWIAŁ
Grzegorz Dobek



Studniówka 1996/1997 w TRM



Aktorzy spektaklu Prochy

ZARAŻ NAS SWOJĄ PASJĄ

Pasji może być tyle, ilu ludzi stąpa po ziemskim globie. Dla Piotrka pasją jest taniec. Dowiedzmy się zatem więcej o jego życiowej miłości i odkryjmy skrywane przez niego tajemnice.

READ DELUXE: Od jak dawna tańczysz?

PIOTR KĄCICKI: Od przeszło 5 lat.

READ: Czy to, że Twoja partnerka taneczna jest również Twoją partnerką w życiu osobistym, pomaga w tańcu? Co będzie, jeśli się rozstaniecie czy nawet pokłócie? Czy nie ma to żadnego wpływu na taniec?

P.K.: Pomaga. O wiele łatwiej jest ustalić godziny treningów oraz wywołać emocje w tańcu. Jeżeli chodzi o kłótnie, zależne jest to od nastawienia. W naszym przypadku kłótnie nie mają wpływu na jakość techniczną treningów, ale trening emocjonalny wtedy całkowicie odpada. W zasadzie po kłótni ciężko jest odgrywać nawet złość na parkiecie.

READ: Ile czasu tańczysz z obecną partnerką?

P.K.: Tańczę z Weroniką już ponad 2 lata. Długi staż nie jest tak bardzo istotny, aczkolwiek dobrze jest czuć siebie w parze. Łatwiej jest o zaufanie w tańcu czy sposób prowadzenia, który wypracowuje się razem z partnerką, czyli jakiś okres czasu musi minąć.

READ: Czym jest dla Ciebie taniec?

P.K.: To dla mnie oderwanie się od codziennej rutyny, sposób na spędzanie czasu oraz rozpoznanie przyszłości, bo z tańcem ją wiążę. Jest to też moje realizowanie się, spełnianie. Jestem przekonany, że pracą mogę wiele osiągnąć.

READ: Jak często i ile godzin dziennie trenujesz?

P.K.: Treningi mam cały tydzień, od 2 do 3 godzin dziennie, ale zajęcia z trenerką od wtorku do czwartku. Dodatkowo co 3 tygodnie przyjeżdżają konsultanci z Warszawy (m.in. Adam Król).

READ: Czy taniec stoi na pierwszym miejscu Twojej hierarchii ważności?

P.K.: Zdecydowanie tak. Rodzina wymaga ode mnie sukcesów w szkole, więc i o tym muszę myśleć.

READ: Treningi wymagają wiele poświęceń i wyrzeczeń? Jakich?

P.K.: Zdecydowanie najważniejszym jest oszczędność. Zarobione na pokazach tanecznych pieniądze przeznaczam na treningi, a nie na nowy komputer czy konsolę.

READ: To dość inwazyjny sport. Jaką miałeś najgorszą kontuzję?

P.K.: Na szczęście obeszło się bez poważniejszych kontuzji, aczkolwiek obicia, stłuczenia

czy wybicia są na porządku dziennym. Ale uważam, że nie ma sportu bez kontuzji.

READ: Wiążesz swoją przyszłość z tańcem?

P.K.: Zdecydowanie tak. Zostanie trenerem czy nawet sędzią tanecznym to jedno z moich pragnień. Jednak jakieś studia na wszelki wypadek muszę skończyć.

READ: Jak wyglądają obozy taneczne? Co na nich robicie? To kolejne treningi czy może czas relaksu?

P.K.: Właściwie są to zazwyczaj 2 tygodnie codziennego całonocnego treningu. Atrakcji dodatkowych praktycznie nie ma. Wakacje to okres najintensywniejszego treningu (technicznego i kondycyjnego) ze względu na brak udziału w turniejach.

READ: Jakie cechy są niezbędne dla tancerza?

P.K.: Pokora, determinacja i bycie konsekwentnym tworzą mistrza.

READ: Jakie masz sukcesy na swoim koncie?

P.K.: Hm... Muszę przyznać, że trochę tego jest, ale z takich ważniejszych sukcesów to na pewno to, że jesteśmy półfinalistami Mistrzostw Polski Młodzieży w Tańcach Standardowych, wice-mistrzami okręgu zachodniopomorskiego w obu stylach i jako jedyna para w Kołobrzegu posiadamy międzynarodową klasę taneczną „S”.

READ: W jakim tańcu czujesz się najlepiej?

P.K.: Szczerze? W każdym. I każdy jest

moim ulubionym. Jednak zdecydowanie sercem jestem za tańcami standardowymi.

READ: Jak zaczęła się Twoja przygoda z tańcem?

P.K.: Mój brat ją rozpoczął. Znalazł kilka lat temu ogłoszenie, plakat, gdzie zachęcali do dołączenia do grupy tanecznej dla dzieci i postanowił się zapisać. Przez pierwsze miesiące tańczył jakieś dziecięce wygibasy, a ja się z niego śmiałem. Aż do dnia, w którym poszedłem na pokaz, gdzie razem z grupą zatańczył choreografię do piosenki Madonny i tak mi się to spodobało, że postanowiłem również się zapisać. Po przyjeździe na zajęcia nauczyłem się kroków cha-cha i walca angielskiego, lecz na żadną *Madonnę* nie załapałem się już nigdy. Za to rozpocząłem przygodę z tańcem towarzyskim.

READ: Znajdujesz czas na inne zainteresowania?

P.K.: Ze względu na ilość czasu, jaką poświęcam na treningi, nie mam możliwości próbowania czegoś innego. Jedynie w wakacje mój wujek zabiera mnie i brata na Hel na windsurfing, co jest jedyną odskocznią od tańca w ciągu całego roku.

ROZMAWIAŁA
Daria Wojciechowicz



fot. prywatne archiwum P. Kącickiego

(NIE) OGRANICZONY

Świat oczami młodych pasjonatów. Kilka słów licealisty o swoim sposobie na życie i walce sportowca z czasem i edukacją.

– Numer 24 do odpowiedzi!

Głos pani profesor rozniósł się po całej sali i opadł między ławki, ogarniając wszystkich zgrozadzonych nieprzyjemnym uczuciem chłodu. *Musiś wstać* powtarzałem sobie, myśląc, że każda sekunda zwłoki podkręci tylko nieprzyjemny klimat w klasie. Oczywiście, oczy wszystkich wlepiły się we mnie kontrolując najmniejszy mój ruch. Czułem się jak pokarm rzucany w zoo małym surykatkom, które świdrują swoimi wielkimi oczami każdy rzucany im kęs. Znalazłem się przy nauczycielce wyjątkowo za szybko, ale może i dobrze, bo już zaraz pewnie wszystko zapomnę. *Trzecia koniugacja: lego, legere, legi lectum* – odmiana tego czasownika nie dawała mi spokoju. Wczoraj spędziłem nad tym dobrą godzinę. *Koniugacja druga: video, videre, vidi, visum*. Słowa przełatywały mi w głowie niczym messerschmitty. *Właśnie, dzisiaj niemiecki, jak szedł ten tekst? Vera Bohle ist eine von zwei Minnensuchern aus dem...*

– Uzyskam odpowiedź na moje pytanie, czy będziesz tu tak ślęczeć do końca lekcji? *Jak ja mogłem tego nie usłyszeć.*

– Może pani profesor powtórzy?

– Jaki jest *accusativus* rzeczownika *chłopiec*? *Świetnie* – pomyślałem. Wiedziałem, że będzie po mnie. Wczoraj zabrakło mi czasu na powtórzenie deklinacji, a miała przecież pytać tylko z odmiany czasowników.

– Nie wiem, pani profesor.

– Czy naprawdę tak trudno poświęcić

pół godziny na przypomnienie sobie ostatnich lekcji? Co ty takiego masz do roboty, że nie zdążyłeś się wczoraj nauczyć?

Boom! Strzał był celny i to cholernie. Bariera odgradzająca mój prywatny skrawek świata została przerwana. Wiedziałem, że takie myśli żyją w ludziach wokół, jednak na co dzień zamykam się na te niewypowiedziane zdania. Inaczej wewnętrznie puchnę, mając po prostu alergię na ludzkość. Nie obyło się oczywiście bez negatywnej oceny. Ale, czy wpłynie to na moje życie za trzy lata?

Ten moment w sali od łaciny przypomni mi pewne słowa. Dotyczą one ludzi młodych. Wiek dojrzewania i powolnego wchodzenia w dorosłość (choć z tym tempem bym polemizował – podejmowanie decyzji o swojej karierze naukowej i zawodowej w wieku szesnastu lat jest czymś zgoła nieodpowiednim) opiera się dla młodzieży na ciągłej edukacji i dążeniu do określonego celu. Do punktu, który zdecydowanie wyznacza liceum ogólnokształcące. Plan jest prosty. Zdaj dobrze maturę i dostań się na wymarzone studia. I tu pojawia się kwestia sporna. Czy dla każdego młodego człowieka studia, które dadzą mu wykształcenie i pozwolą znaleźć dobrze płatną pracę to szczyt marzeń? Skoro taki człowiek ma wchodzić w dorosłość i podejmować dojrzałe decyzje, to nie można mu narzucać drogi *stricte* jednorotorowej! Jak to się ma do poglądu, że tylko wysoki poziom edukacji stworzy

młode, silne pokolenie, które zastąpi stare i w dobrą stronę pokieruje społeczeństwem? Czy tą wielką masą ma kierować nowa wielka masa, bez miejsca na siłę jednostki, bez miejsca na pa-się czy artyzm? Ująłbym to inaczej: bez czasu na pasję czy artyzm? Przecież czysta wiedza wypełniająca każdy dzień po brzegi i spraw-dzająca nasze funkcjonowanie do kodowania stale nowych informacji (niczym robot z filmów science-fiction) nie może stać się napędem rozwoju cywilizacji. To po prostu niemożliwe.

Dzieci nie mają czasu dla rodziców, rodzice nie mają czasu dla dzieci. Jak często zdarzają się dni, kiedy nie możemy posiedzieć z rodziną przy wieczornym filmie czy odmawiamy sobie przeczytania ulubionej książki z powodu natłoku obowiązków szkolnych? Idąc tym tropem, można zauważyć, że uczymy się wielu niepotrzebnych rzeczy, które przydadzą nam się potem jedynie przy rozwiązywaniu krzyżówki. Oczywiście, człowiek powinien pewne rzeczy wiedzieć i rozumieć, ale umiar jest potrzebny we wszystkim.

I tu znowu pojawia się ta bolesna kwestia czasu, która od zawsze towarzyszy człowiekowi. Niektórzy opierają swoją ograniczoną początkiem i końcem egzystencję tylko na wypełnianiu życiowych obowiązków: nauka, praca, rodzina, dom, dzieci. Jednak z tego krótkiego, ziemskiego życia trzeba wyciągać coś więcej. Współczuje tym, dla których kariera, czy to naukowa, czy zawodowa, staje się jedyną ostoją i powiązaniem z rzeczywistością. Na szczęście są ludzie, którzy kierują swoim życiem w sposób niezwykły. Tworzą swoje *sacrum*. Świątynię, do której tylko nieliczni mają dostęp i którą tak niewielu rozumie. Coś, co mogą sami kształtować, a następnie przekazywać innym. Tworzą sposób na życie, który różni się od ogólnie przyjętej normy, a jak każda *inność*, jest tępyony.

To niezrozumienie przyjęło apogeum właśnie podczas incydentu w sali od łaciny. W tych wypowiedzianych słowach widać, jak wielu ludzi wokół ma ograniczone postrzeganie świata. Nie rozumie drogi, jaką wybiera drugi człowiek.

Przeszkadza mi, że mając naście lat mam tak mało czasu na wypełnianie swoich dni tym, co kocham i co daje mi szczęście – tańcem. To w tym kierunku będę się rozwijał i natłok tysięcy innych obowiązków nie odpowiada mi, staje się tylko kolejnym ograniczeniem i przeszkodą. Powinniśmy rozumieć, że większość ludzi ma swoje marzenia, którym się poświęca, niestety, tak często odbierana jest im możliwość swobodnego życia po swojemu. Jeśli człowiek chce, może żyć z tego, co naprawdę lubi i nic nie przeszkodzi mu w osiągnięciu celu. Drogi Czytelniku, a Ty wiesz, po co żyjesz?

Rafał Wapiński



ROZMAWIAŁA Daria Wojciechowicz



PROF. JÓZEF SKORUPIŃSKI

Dowiedz się, jakie tajemnice skrywa dowódca naszej szkoły!

Motto życiowe

Być dobrym człowiekiem i w miarę możliwości szczęśliwym.

Pierwsze zarobione pieniądze...

To były czasy liceum (nawiasem mówiąc było to też liceum Mikołaja Kopernika), pracowałem w sezonie letnim jako listonosz.

Moja praca to...

...szkoła, ale lubię też pracę w domu, tzn. obowiązki pozazawodowe, czyli np. działkę.

Szefem jestem...

...nie wiem, trzeba by było zapytać podwładnych. Staram się wszystkich traktować w sposób podmiotowy, nie przedmiotowy. Wydaje mi się, że traktuję swoich pracowników jak ludzi dorosłych i odpowiedzialnych, wobec tego rzadko ich kontroluję czy wzywam na dywanik.

Najbardziej stresuje mnie...

...praca. Praca w szkole przynosi każdego dnia sporo niespodzianek, ale stresów jest więcej. Życie jest takie, że na każdym kroku spotyka nas coś zaskakującego – nie tylko pozytywnego, bywa też, że negatywnego.

Niezastąpiony gadżet...

...pióro, komputer, prasa, książka i – myślę że o tym uczniowie już wiedzą – rower, który jest moim środkiem lokomocji.

Zawsze znajdę czas na...

...ciekawą rozmowę, lekturę, słuchanie muzyki.

Brzydzę się...

...kłamstwem, ludźmi nieuczciwymi, fałszywymi.

Zazdroszczę...

...młodości. Kiedy się przebywa z młodymi

ludźmi, robi się żal, że człowiek nie jest już młody...

Boję się...

...może emerytury (śmiech).

Nie mógłbym się obejść bez...

...pracy, książki, muzyki.

Marzę o...

...o tym, żeby mieć więcej wolnego czasu i móc podróżować.

Podróże to dla mnie...

...nie tylko sposób spędzania wolnego czasu, ale poznawania czegoś nowego – krajobrazów, zabytków, ale też ludzi i ich obyczajów – to jest to, co zawsze mnie fascynowało.

Ludzi oceniam...

...nie po pierwszym wrażeniu, ale po bliższym poznaniu. Przez pryzmat tego, co robią, co sobą reprezentują. I nie oceniam ludzi od razu negatywnie, staram się znaleźć w każdym człowieku coś dobrego.

Jestem...

...mam nadzieję normalnym człowiekiem.



DLACZEGO WARTO WYBRAĆ KOPERASA?

TYLKO U NAS: SŁYNNNE ZIELONE ☺ BUFET Z PYSZNYM JEDZONKIEM I MIŁĄ OBSŁUGĄ ☺ PRZYSTOJNI CHŁOPCY I NAJPIĘKNIEJSZE DZIEWCZĘTA ☺

► Jesteśmy najlepszą wśród kołobrzeskich szkół średnich!

według rankingu „Rzeczypospolitej” za rok 2011/2012 jesteśmy najlepszą szkołą średnią w Kołobrzegu, drugą w regionie, siódmą w województwie

► Dzięki naszej szkole staniesz się wartościowym i mądrym człowiekiem, a maturę zdasz śpiewając!

w roku szkolnym 2011/2012 do egzaminu dojrzałości przystąpili wszyscy abiturienti

z powodzeniem 100%. Przeciętny wynik egzaminu to rezultat o 8,3% lepszy od średniej liceów ogólnokształcących całej Polski

► Nasza szkoła stworzy Ci wiele możliwości, abyś w przyszłości i Ty mógł stanąć na olimpijskim podium!

w podsumowaniu współzawodnictwa sportowego szkół ponadgimnazjalnych województwa zachodniopomorskiego nasza szkoła zajęła I miejsce w stawce 131 sklasyfikowanych szkół

► Nasze liceum pozwoli Ci rozwijać Twoje zainteresowania i kształcić

się w kierunku przedmiotów, które są Twoją pasją

w naszej szkole działa wiele kół zainteresowań, np. koło pasjonatów dziennikarstwa – READ, pozalekcyjne zajęcia sportowe, koło żeglarskie (internat), koło fotograficzne (internat)

ZOSTAĆ ABSOLWENTEM KOPERNIKA – PRESTIŻ I DUMA

PIERWSZOKLASISTKA
Majka Lejbt

SPOTTED NAPISZ (D)O MNIE

Od niedawna w sieci zaobserwować można nowy trend. Na jednym z portali społecznościowych powstało *spotted* i *hejt*. Nowa moda nie mogła oczywiście ominąć Kołobrzegu. Co prawda do naszego miasta zawitała niedawno, jednak rozwija się w zawrotnym tempie.

Mieszkając w internecie nie sposób nie słyszeć czasem cudzych rozmów. Całkiem przypadkiem można stać się świadkiem ciekawej konwersacji za sprawą cienkich ścian czy otwartych okien. Jednak ostatnio zauważyłam coś nowego. Coraz częściej widuję na korytarzu zarumienione dziewczęta wdychające do komputera. Pomyślałam, że coś musi być na rzeczy.

Po dokonaniu małego dochodzenia – znalazłam. Powodem westchnień był kołobrzegi profil *Spotted* na facebook'u. Co to jest, że tak bardzo ciekawi i wciąga? Dla niewtajemniczonych – *Spotted* to miejsce w sieci, gdzie możemy zupełnie anonimowo wyznać komuś swoje uczucia, skierować pozdrowienia do bliskiej osoby lub po prostu powiedzieć miłe słowo. Profil powstał dla osób nieśmiałych, które wstydzą się ujawnić swoją tożsamość i bezpośrednio wyznać uczucia obiektowi swoich marzeń. Wcale mnie więc nie dziwi, że w krótkim czasie zyskał tak dużą popularność. Co jest najlepszego w *Spotted*? To, że czytając wyznania od anonima, automatycznie zastanawiasz się, kto może być jego adresatem. Pierwsza myśl, która przychodzi do głowy, to oczywiście twoja skromna osoba. Z nadzieją czytasz zdanie za zdaniem i zastanawiasz się, czy opis osoby może pasować do ciebie, czy sytuacja opisana w poście mogła mieć miejsce. Jeśli już zdasz sobie sprawę, że to niestety nie do ciebie skierowane są miłe słowa, przychodzi drugi etap. Zaczynasz rozmyślać, czy ktoś z twoich znajomych może być ich odbiorcą. Rozszyfrowanie nadawcy lub adresata miłosnego westchnienia daje nie lada satysfakcję, wprawia w dobry humor, ale oczywiście pojawia się też nutka zazdrości, bo nie ukrywamy, kto z nas nie chciałby przeczytać o sobie, że jest czymś marzeniem? Zapewne mało takich osób. A potem... potem pojawia się nowy wpis i zabawa zaczyna się od początku.



Jednak przecież życie nie jest tak kolorowe jakby się mogło zdawać. W naszych umysłach rodzą się nie tylko te pozytywne, dobre emocje. Oprócz radości, szczęścia, stanu zakochania znane są nam też złość, rozgoryczenie, poczucie wyrządzonej nam krzywdy. Po to właśnie powstał *Hejt*. Działa na takich samych zasadach jak *Spotted*, jednak jego przeznaczenie jest zupełnie inne. Służy do anonimowego wylewania swoich złych emocji i uczuć. Tak, nie zawsze są to miłe wpisy. Pojawia się tutaj pytanie, czy słusznie, że są one nieosobowe? Dobłą stroną tego jest, że posty nie ranią nikogo wprost. Jednak z drugiej strony... Przecież anonimowość rodzi

bezkarność! W sieci nie każdy zastanawia się nad następstwami wypowiedzianych przez siebie słów, nie myśli, jak bardzo mogą one kogoś ranić. Jednak nie mnie oceniać, czy taki profil jest potrzebny. Powstał, po prostu jest i na pewno w jakiś sposób oddziałuje na zachowanie młodzieży.

Ja zdecydowanie wolę *Spotted*. Przyznam, że stałam się jego częstym gościem. Miłośne wpisy, szczególnie te od panów, potrafią poprawić humor i przywrócić wiarę w pięć przeciwną. Dobrze wiedzieć, że w XXI wieku istnieją jeszcze romantycy.

Ale numer!

